

JAN DRZEŹDŻON

*Kraina
Patalonków*





ISKRY

*Kraina
Patalonków*



JAN DRZEŹDŻON

*Kraina
Patalonków*

ISKRY

WARSZAWA 1978

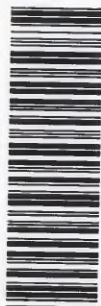
Opracowanie graficzne
WANDA ORLIŃSKA

Redaktor
EWA MIRONKIN

Redaktor techniczny
BARBARA MUSZYŃSKA

Korektor
JOLANTA SPODAR

PiMBP Wejherowo
Filia 2



15023133



B.

F

10646

884-93 III

© Copyright by Jan Drzeżdżon
Warszawa 1978

Illustration © copyright by Wanda Orlińska
Warszawa 1978

13/79

Część pierwsza

Wielka woda

Wolfram Wobbe
Cable Operator

OPIS KRAINY

Kraina Patalonków mieści się pod leśnym mchem. Królestwem rządzi dobry i mądry władca Sinobrody zwany Słoneczkiem. Patalonki są wielkości komara, a poza tym w całej postawie przypominają ludzi. Wydaje się, że uważają swój świat za jedyny i być może nic nie wiedzą o istnieniu ludzi albo wielkich zwierząt. Oczywiście są przystosowane do rozpoznawania najdrobniejszego pyłku, a pewnie najśmielszy z Patalonków wdrapał się zaledwie do połowy sosny rosnącej pośrodku ich rozległego królestwa. Wielkie są tu jednak przygody i bardzo lubią one swoją krainę. Mają drewniane domy, a w jednym z nich mieszka rodzina Bazylego Patalonka. Kiedy jest lato, Patalonki odsłaniają nieco mchu i wtedy ich matki i córki leżą na piasku i się wygrzewają. Zresztą i same Patalonki lubią wygrzewać się na piasku.

NOGA LUDZKA

Zdarzyło się raz, kiedy tak słońce szło sobie po niebie, że ziemia zadrżała. Powstał wielki popłoch, Patalonki, jako dzielni wojownicy, zła-

pały swoje dzidy i wysuwały ostrożnie głowy ponad mech. Wtedy nastąpił drugi wstrząs jeszcze groźniejszy, wiele spadło, a te, co utrzymały się na mchu, zauważyły wielką ciężką belę zgniatającą mech, a swoimi drobnymi oczkami stwierdziły, że jest ona gładka, gdzieś tam tylko rośnie wielka gruba trzcina. Nie wiedziały nasze Patalonki, że była to noga ludzka, jakaś kobieta zbierała grzyby, a owa trzcina to włosy na jej nodze.

Dzielne Patalonki wypuścili grad strzał wielkości igliwia prosto w tę wielką gładką bryłę. Kobieta podrapała się w tym miejscu i poszła dalej, szukając grzybów. Nie zauważyła naszych dzielnych wojowników, którzy chwalili się potem swoim męstwem, a król Sinobrody, zwany Słoneczkiem, przedstawił ich do odznaczenia. Pierwszy minister, Izydor Wszechmocny, chwalił w swojej przemowie dzielnych rycerzy, dzięki którym kraina Patalonków jest teraz wolna. Pozostał jedynie ślad, wielki, rozległy po owej stopie i pokazywano go sobie jako znak czegoś tajemniczego i groźnego.

POCZĄTEK OPOWIEŚCI

Rozpoczynamy naszą opowieść w momencie, gdy uczone Patalonki zaczynają spisywać dzieje ich wielkiego królestwa. Bohaterami opowiadania będzie rodzina Bazylego, zwanego Wyniosłym ze względu na jego wzrost. Na progu domu siedzi panna Patalonkówna i robi na drutach

czapkę. Rodzina pojechała do miasta po cukier, chleb i mięso. Jeżdżą w powozach zaprzężonych w konie wielkości małej muchy. Konie są silne i drewniane koła powozu skrzypią, zwłaszcza gdy jeżdżą szybko. Panna Patalonkówna patrzy na drogę raz po raz i widać lubi tak sobie siedzieć. Na jej twarzy nie widać żadnego zmartwienia, zęby ma białe i błyszczące. Na imię ma Agnieszka.

— Jeszcze trochę — mówi do siebie — a potem pójdę na drogę, tak lubię spacerować po naszej drodze.

Dość daleko stąd widać drugi drewniany dom i krzątające się wokół niego Patalonki. Dawniej podobno toczyły się tu wojny, ale odkąd nastał miłościwie panujący król Sinobrody, panuje w całej krainie spokój i ład. Czasem tylko kret ciągnie swoim starym korytarzem, a Patalonki nawet nie wiedzą, że mieszka obok nich krecia rodzina.

Panna Agnieszka siedzi jeszcze przez chwilę na progu, po czym kładzie nie dokończoną czapkę z wełny po swojej lewej stronie i idzie w głąb domu. Staje przed lustrem, uśmiecha się.

— Jestem ładna — mówi do siebie — myślę, że lustro nie kłamie.

KOMAR

Rozlega się turkot zajeżdżającego wozu.

— Jada! — krzyczy Agnieszka i wybiega przed dom.

To nie był jednak powóz z jej rodzicami, braćmi i siostrami. Coś klekotało u góry ponad mchem. Agnieszka ma za mało sił, aby rozepchać mech i wyrzeć na górę, w dodatku strop jest o wiele wyżej niż dach ich domu.

Wygląda, jakby to była burza — mówi do siebie Patalonkówna.

Kiedy słyhać jakieś odgłosy z daleka, w państwie Patalonków mówi się, że to burza. Agnieszka siada znów na progu — bierze wełnę i druty i dalej robi swoją czapkę.

Naraz na drodze zaczyna coś huczeć. Powstaje popłoch. To komar, śmiertelne niebezpieczeństwo dla każdego Patalonka. Rzadko zdarza się tu taki komar, niemniej wszystko jest w pogotowiu w razie ich ataku. Nie było nigdy tak, aby więcej niż jeden komar tędy leciał, niektóre uczone Patalonki twierdzą, że byłaby to zagłada dla całej krainy.

Agnieszka zamyka szczelnie drzwi, wysuwa przez specjalny otwór w ścianie lufę karabinu maszynowego i kiedy komar zniża się nieco, wypuszcza do niego serię ostrych pocisków. Słychać strzelaninę z tamtego zabudowania. Pociski zsuwają się ze skrzydeł, kilka z nich ugodziło komara w gardło. Opada coraz bardziej, coraz bardziej, strzały cichną. Zajmuje całą drogę, jest to dość duży komar. Z tamtego zabudowania wypada dwóch Patalonków z dzidami i wrzeszcząc straszliwie zadają ciosy osuwającemu się na ziemię komarowi. Agnieszka płata jego ciało wielkim nożem i wszyscy troje siedząc wokół komara uczują.

— Wytnij mu jad — mówi jeden z Patalonków do Agnieszki.

Ona tnie na odlew i wycina komarowi jad. Potem odcina skrzydła.

— Muszę zreperować drabinę — mówi jakiś Patalonek — przydadzą mi się. — I bierze oba skrzydła pod pachę.

Na drodze pozostają nogi komara.

— Mogłyby się przydać do zreperowania płotu — stwierdza Agnieszka i układa nogi wzdłuż swojego domu.

PIEŚŃ

Droga jest znów pusta. Czasem jakiś Patalonek przejedzie z wiadrem pełnym wody, a potem znów nie ma tu nikogo. Agnieszka robi dalej swoją czapkę na drutach i od czasu do czasu patrzy na leżące niedaleko niej nogi komara, a potem przenosi wzrok na tamto zabudowanie.

Zaczyna śpiewać.

Patalonki lubią śpiewać. Głos i melodia piosenki rozchodzą się daleko. Tamte Patalonki stoją oparte o swój dom i słuchają, nawet nogi komara poruszają się w takt jej śpiewu. Ona śpiewa o Izydorze Złotoustym, który żyje dziś tylko w legendzie. Był takim pięknym młodzieńcem, że słońce nie śmiało na niego świecić, a kiedy rozpoczął mowę, to w całej krainie powiało wiosną, taki to był ten Izydor Złotousty.

Agnieszka śpiewa o nim raz, potem drugi raz, a tamte Patalonki wciąż stoją, a nogi komara

same spacerują po drodze. Wielka jest moc pieśni w krainie Patalonków.

Potem Agnieszka śpiewa o złotym ptaku, o źródle z wodą życia i jeszcze inne piosenki popularne w tej krainie. Jej spódnica zakrywa kostki i stopy tak, że może oprzeć brodę na kolanach. Ma długie warkocze, których końce przewiązane są czerwonymi wstążkami.

Druty są cieńsze i dłuższe niż palce, palców jest więcej, drutów mniej.

O TYM, JAK AGNIESZKA PRZYMIERZAŁA CZAPKĘ

Czapka gotowa. Patalonkówna mierzy ją przy lustrze, cały jej brzeg jest niebieski tak jak oczy, a na końcu jest płat czerwieni. Patalonkówna śmieje się do siebie, kłania się sobie, staje bokiem. Jest piękną dziewczyną. Lustro nie kłamie. Lustro prawdę mówi. Idzie przed dom. Rozgląda się wokół. Wychodzi na drogę.

POWRÓT Z MIASTA

Daleko na drodze widać konie. Twarz Agnieszki pojaśniała.

— Jada — mówi.

Zaczyna tańczyć, tylko długa spódnica furkocze wokół jej drobnych kostek.

— Jada! — woła, a na twarzy i w oczach widać, jak bardzo się cieszy, że wracają jej rodzice, siostry i bracia.

Wkłada czapkę na głowę, a spod niej wysuwają się długie, grube warkocze. Przywitam ich w czapce — mówi do siebie. Konie zatrzymują się przed domem, a Bazyli Patalonek zwany Wyniosłym zawiązuje lejce do wozu. Schodzi po drewnianym kole, a za nim schodzą pozostali: matka, dwie siostry Agnieszki i dwóch braci. Jeden ma na imię Gustaw, a drugi Mieczysław. Siostra jedna jest Paulina, a druga Marianna. Schodzą z wozu.

— Zobaczcie, zrobiłam czapkę na drutach — mówi do nich Agnieszka.

Wszyscy oglądają czapkę.

— Bardzo pięknie w niej wyglądasz, córeczko — mówi Bazyli.

— Przywieźliśmy dużo dobrych rzeczy — mówi matka.

Patalonki znoszą z wozu towary i zanoszą je do izby. Sam Bazyli rozwiązuje worki i wysypuje wszystko ze środka. Prawdziwe skarby. W jednym worku same łakocie, w drugim broszki i korale, w trzecim chleb i ser. Dla Patalonków starczy to na cały miesiąc, ale gdyby to przypadkiem spotkała nawet taka wiewiórka, zjadłaby na jeden kęs.

— Jakie cudne broszki! — mówi Agnieszka. Bierze jedną i przypina sobie do sukienki.

Idzie do lustra. Jest to czerwona biedronka. Siostry stroją się w korale. Worki są puste. Bazyli zwija je, a matka układa do szafy chleb i ser.

— Na drugi raz pojedę z wami do miasta —

mówi Agnieszka — napatrzę się wtedy na inne broszki, chociaż ich nie kupię.

— Napatrzyliśmy się na to wszystko — mówi Paulinka — patrzeć można za darmo, kupcy nawet lubią, gdy wokół ich towarów gromadzą się tłumy.

— Zanurzyłabym ręce, aż całe by zginęły w tych świecących spinkach, broszkach i koralach. Przycisnęłabym to wszystko do piersi i patrzyłabym zupełnie z bliska na czerwień kolorowego szkła, na mieniący się bursztyn i na białe perły. Przez chwilę byłabym w tym rajku moim, o którym tak często marzę.

— Na drugi raz, córeczko — mówi Bazyli swoim grubym głosem — będziesz jechała obok mnie, matka zostanie w domu, dla niej jest już trochę ciężko.

Agnieszka podbiega do ojca, bierze jego szczeniastą brodę i przytula do niej swój dziewczęcy policzek. Pozostają na tym policzku szczerwieniałe punkciki. Drugi policzek jest nadal gładki i różowy. Bazyli jest z tego zadowolony, kładzie swoją ciężką rękę na ramieniu Agnieszki i śmiejąc się mówi:

— Zaprowadzę cię do mojego przyjaciela, który teraz wraca z dalekich krajów i myślę, że przywiezie wspaniałe towary.

Taka to była wielka radość u Patalonków, gdy cała rodzina wróciła z miasta. Ojciec wypręga konie i prowadzi je do stajni, a w całym domu toczą się ożywione rozmowy.

— Siedząc tu na progu cały czas myślałam o was — mówi Agnieszka.

ROZMOWA O KOMARZE

W pewnej chwili ojciec krzyczy zza rogu domu:

— Ktoś tu strzelał dziś?

— To ja — mówi Agnieszka. — Dostał się do naszej krainy komar i leciał nad naszym domem. Zamknęłam szczelnie drzwi i strzelałam do niego.

— Mówiono na rynku — odpowiada Mieczysław — że wysoko nad miastem widziano komara i leciał tu, w naszą stronę.

— Sama go zestrzeliłaś, córeczko? — pyta ojciec.

— Nie — odpowiada Agnieszka. — Pomogli mi sąsiedzi, są bardzo dzielni; obserwowałam ich w ataku, rzucili się na komara jak prawdziwi rycerze.

Wszyscy byli tego samego zdania, że sąsiedzi są wyjątkowo waleczni. Siadają wokół stołu i są ustrojeni w broszki i korale.

PIERWSZA WIADOMOŚĆ O WIELKIEJ WODZIE

— Wiecie co — mówi Gustaw — w mieście opowiadano, że jakiś kupiec przyjechał z dalekich krajów i że spotkał na swej drodze wielką wodę, której nie potrafił ogarnąć wzrokiem.

Siostry wstrzymały oddechy.

— Naprawdę? — mówi prawie szeptem Agnieszka. — On to widział na własne oczy?

— Ludzie w mieście podawali to sobie z ust do ust.

— Co to jest wielka woda? — pyta Marianna i widać wielkie zdziwienie w jej ładnych jak promyki słoneczne oczach.

— To tak, jakbyś połączyła dwie krople wody ze sobą — odpowiada Gustaw — a może nawet więcej.

— O wiele więcej — dodaje Mieczysław. — Myślę, że mogłoby być nawet pięć.

Wszyscy kiwają głowami ze zrozumieniem, że to musi być bardzo wiele wody.

— W takiej wodzie Patalonek nie sięgnąłby dna — mówi Marianna.

— Na pewno by nie sięgnął — dodają inne w zamyśleniu.

— Gdyby tak iść nad wielką wodę — marzy głośno Agnieszka — mogłybyśmy potem w mieście opowiadać o tym sudownym wydarzeniu. Będę o tym teraz wciąż myślała — dodaje. Dotyka rękami swojej czerwonej broszki i patrzy na nią.

Widać po rozpalonych policzkach młodych Patalonków, że myśl o wielkiej wodzie nie daje im spokoju.

WIELKA WYPRAWA AGNIESZKI

Jest noc. Patalonki śpią. Ale kiedy księżyc przechodzi na drugą stronę nieba, drzwi drewnianego domu otwierają się i wychodzi w białej koszuli Agnieszka, a za nią pies Kudłatek. Pies jest tak mały w porównaniu z człowiekiem, że trudno go zobaczyć, mniejszy niż pchła.

Biała postać idzie drogą, a za nią pies. — Muszę zobaczyć wielką wodę — szepce do siebie. Mija inne domy. Psy nie szczekają, widocznie śpią. Jest to czas, gdy wszystko śpi. Wchodzi na wielką górę, ale i stamtąd do podszycia leśnego jest bardzo wysoko.

Siedzi więc Agnieszka na górze, a w głowie kołaczą jej myśli o wielkiej wodzie — widać to po rozpalonych policzkach i rozgorączkowanych oczach.

Tak bym bardzo chciała zobaczyć wielką wodę — mówi do siebie. — Gdyby teraz wyszedł z pieczary smok, wsiadłabym mu na grzbiet, aby mnie tam zawiózł.

Ale smoka nie było. W świetle księżyca Agnieszka wyglądała jeszcze bardziej biała, niż była w istocie, koszula sięgała jej poza kostki, zakrywając nawet palce. Obok jej nóg leży Kudłatek i patrzy przed siebie w dół, jego wzrok jest bardzo mądry.

Szkoda, że nie zapytałam, gdzie jest wyjście z naszej krainy, może to wcale nie jest w tych górach, przecież to sobie sama tak wymyśliłam.

Nagle patrzy na sąsiednią górę i z jej wierzchołka ciągnie się jakiś cień prosto do nieba. Jest to korzeń sosny, a Agnieszka jest przekonana, że to jakieś dziwne drzewo, stanowiące most ponad tą pustą przestrzenią. Na korzeniu jest tyle miejsca, że starcza i dla Kudłatka. Idą więc oboje w górę, ona w długiej białej koszuli, a on, drobny psiak idący na swoich czterech łapkach tuż obok jej nóg. Gdzieś w połowie drogi przystają i patrzą w dół. Hen, daleko pod



nimi jest kraina Patalonków, a wysoko, że aż trzeba głowę zadzierać, jest poszycie leśne, najwięcej mchu — naturalna granica ich świata. Pies spogląda w dół, potem na Agnieszkę. Odpoczywają.

— Jestem tu naprawdę — mówi Agnieszka — czy mi się to wszystko śni? A nawet gdyby to był sen, to jest on piękny.

Wstają i idą w górę. Korzeń jest coraz grubszy i mają tam więcej miejsca. Patalonki są tak małe, że drobna szpara wystarczy, aby mogły się przecisnąć. Toteż Agnieszka bez trudu znalazła szparę między korzeniem a ziemią i razem z Kudłatką przedarła się na powierzchnię.

Mech jest miękki. Siedzą urzeczeni. — Co to jest? — szepcze ona. Kudłatek leży skulony tuż przy jej nogach. Oboje są wpatrzeni w wielką sosnę rosnącą pośrodku krainy Patalonków. Ledwie mogą objąć ją oczyma. Może to jest burza — mówi do siebie Agnieszka. U Patalonków wiele dziwów nazywano burzą. Idą już długi czas, a nawet nie doszli do połowy pnia. Stapają po opuszkach mchu, a żaden nawet nie zgiął się pod ich ciężarem.

— Żebyśmy tylko nie zabłądzili — mówi Agnieszka.

Nagle coś idzie naprzeciwko nich. Słychać chrzęst zginającego się mchu. To żuk sunie, wiadać nie może spać tej nocy. Agnieszka z Kudłatką przysiadają i czekają, czy owo czarne zwierzę ich ominie. Żuk niemal się o nich otarł, ale nawet nie spojrzał.

— On nie jest zbyt towarzyski — mówi Agnieszka do Kudłatka.

Robi się dzień. Las ożywa. Oboje z Kudłatkiem siedzą w mchu i przyglądają się. Agnieszka z otwartymi oczami obserwuje wielkie latające stworzenia. To są sikorki.

Oboje boją się wyjść. Sikorka pomyśli, że to robak i za jednym zamachem połknie i Agnieszkę, i Kudłatka.

PRZYBYCIE GUSTAWA

Nagle coś ją szczypie w pięty. Patrzy w tamtą stronę.

— Gustaw! — woła ucieszona. — Jak nas znalazłeś?

— Cała rodzina cię szuka — mówi Gustaw. — Zobacz, ile tu niebezpieczeństw.

— Wybrałam się nad wielką wodę — powiedziała Agnieszka — a teraz jestem tu, w tym mchu.

— To nic — mówi Gustaw, znam drogę powrotną, weź Kudłatka na ręce i idziemy.

— Nie widziałam jeszcze wielkiej wody — stwierdza Agnieszka.

Gustaw siada obok niej i mówi:

— Nie znam drogi do wielkiej wody, ale tu strach jest chodzić.

Siedzą wpatrzeni w leśne życie i nie wiedzą — iść czy nie. Naraz przedarł się snop promieni słonecznych pomiędzy gałęziami sosny i wszyscy troje zostali oświeceni. Jedna z sikorek usiad-

ła obok i już wycelowała dziób w stronę Agnieszki, Gustawa i Kudłatka, gdy zapadła się w mech.

— Hi, hi — zaśmiała się Agnieszka — ale ona jest ciężka, jaki to wielki ptak.

— Idźmy — powiedział Gustaw — bo skoro się wygramoli z tego mchu, będzie nas poszukiwać.

Puszczają się prosto przed siebie, stąpając miękko po opuszkach główek mchu.

Łachocze mnie ten mech w nogi — mówi Agnieszka — i dość niewygodnie idzie mi się w drewniakach, nie wiedziałam, że podróż będzie tak długa i uciążliwa.

Gustaw ma buty i jest nieco wyższy od Agnieszki, łatwiej mu więc przeskakiwać z jednej główki mchu na drugą. Kudłatek nieraz wpadał do środka, ale długie włoski służyły mu jako drabina, dzięki której wydostawał się szybko na powierzchnię.

ZJEŻDŻANIE Z PAJĘCZINY

Idą tak pół dnia, przysiadając w bezruchu, gdy zbliża się robak lub nadlatuje ptak. Raz tylko minęła ich jakaś wielka szara góra. To był dzik. Dzik szedł swoją drogą, nie zauważwszy nawet wędrowców. Na skraju lasu natykają się na wielką grubą pajęczynę.

— Jaka cudowna sieć — mówi Agnieszka — połuścimy się na niej.

Włazą na sam czubek pajęczyny i zjeżdżają, aż suknia Agnieszki furkocze, a jej drewniaki

spadły w liście. Kudłatek zjeżdża razem z nimi i przy tym szczeka. Na to wygląda ze swego legowiska pajak. Wysuwa przednie obrośnięte łapy i wielkie błyszczące oczy. Agnieszka robi się blada.

— Wydaje mi się, że ktoś tej sieci pilnuje — mówi.

Są niedaleko pajaka. Ten gotuje się do skoku, widać to po sprężonych łapach i po jego drgającym pysku.

— Nie ruszaj się — przestrzega Gustaw — może pomyśli, że jesteśmy martwi, a nie sędzę, aby mu padlina smakowała.

Ale pajak wysuwa się cały, wtedy Agnieszka zamyka oczy i zjeżdża jak szalona, spadając prosto w liście. Sieć się porusza, a za nią niemal na głowę spada Gustaw, Kudłatek nawet nie zdążył zjechać, spada natychmiast. Pajak pędzi za nimi, ale jest cięższy i nie zdąża. Gustaw bierze w swoje ręce głowę siostry pytając:

— Żyjesz?

— Żyję — odpowiada Agnieszka. — Ale co to było?

— Jakiś wielki stwór — mówi Gustaw. — Słyszałem raz, jak na rynku opowiadano sobie o czymś takim, podobno szło przez naszą krainę, ale nikt nie śmiał go zaatakować.

— Jest bardzo kosmaty — stwierdza Agnieszka.

Kudłatek, mimo że spadł z tak wysoka, siedział już przy nich i merdał ogonem.

— Dobrze, że nie połamaliśmy nóg — mówi Gustaw.

— Taka piękna sieć, a taki straszny stwór. Zobacz, Gustawie, pod słońce — dodaje Agnieszka — mieni się srebrem, szkoda, moglibyśmy tu trochę pobyc, a tak nie mogę na niego patrzeć.

LEŚNICZÓWKA

Wstają.

Idą dalej. Ale tuż na skraju lasu jest dziwna zaporą. Gustaw wchodzi do góry czepiając się chropowatości. Jest to drewniana zagroda, a w środku leśniczówka.

— Co tam jest?! — krzyczy z dołu Agnieszka.

Gustaw siedzi okrakiem na poziomo przybitym drągu, nie mogąc oderwać oczu.

— Myślę, że to jest burza — mówi Gustaw. — Pośrodku stoi czerwona góra, styka się z niebem, ledwie mogę dojrzeć do końca, jest podobna do naszych domów. Obok chodzi wielkie kudłate zwierzę. Mieszka też w swoim domu, który jest mniejszy od tamtego. — Agnieszko — krzyczy nagle Gustaw — tu mieszkają olbrzymy, są podobne do nas! Chodź, zobacz!

Agnieszka wchodzi na górę i siada okrakiem na drągu.

— Ta olbrzymka ma suknię taką, jak ja — mówi szeptem zdumioną Agnieszka.

To żona leśniczego przechodzi akurat przez środek zabudowania z wiadrami wody.

— Nie wiedziałam, że na świecie istnieją takie stworzenia — dziwi się Agnieszka.





— Ja też nie wiedziałem — dodaje Gustaw, a wypieki na policzkach świadczą o jego wzruszeniu.

Siedzą długi czas obserwując całe zabudowanie leśniczówki.

— Chodźmy tam — mówi Agnieszka.

Maleńką szparką przeciska się Kudłatek i wszyscy troje idą w stronę leśniczówki. Nad nimi rośnie trawa i wystają liście, tak że sami nie są widoczni, a gdy chcą zobaczyć, czy jeszcze daleko, muszą wdrapać się na żdźbło trawy albo na kwiat. Raz Gustaw wdrapał się na dmuchawiec i ostry biały puch łachotał go pod pachami, a Gustaw śmiał się jak nieprzytomny.

— Nie tak głośno! — krzyczy na niego Agnieszka. — Mogą nas usłyszeć.

— Mają takie wielkie uszy, że najwyżej jakąś trąbę powietrzną mogą usłyszeć te wielkoludy! — i znowu śmieje się jak szalony.

Idą dalej.

W KIESZENI LEŚNICZEGO

Pod wieczór doszli do izby i siedzą schowani w szparze podłogi. Kiedy żona leśniczego stawia obok nich swoją ciężką stopę, wstrzymują oddechy. Wreszcie przychodzi z pracy leśniczy. Deski podłogi skrzypią tak, że Gustaw jest niemal ogłuszony.

— Zobacz, jakie on ma wielkie buty — mówi Gustaw.

Leśniczy ma na nogach długie skórzane buty

z grubymi i twardymi obcasami. Siada na ławę i je.

— Jestem głodna — mówi Agnieszka.

— Wejdźmy więc pod ławę — mówi Gustaw. — Może znajdzie się jakiś okruh. Musimy tylko uważać — dodaje — bo leśniczy może nas w każdej chwili zdeptać.

Idą powoli. Kiedy już są pod stołem, leśniczy zaczyna mówić do swojej żony:

— Dziś zobaczyłem niedaleko leśniczówki ślady olbrzymiego jelenia; musiał przyjść z innego lasu, nigdy u nas takiego nie było.

— Myślałam w pierwszej chwili, że to trzęsienie ziemi — szepce Agnieszka — a to leśniczy mówi, widzę, jak rusza ustami, ale bardzo mało rozumiem.

— Jesteś wystraszona — uspokaja siostrę Gustaw — on powiedział, że zauważył ślady wielkiego jelenia, słuchaj dobrze, a zrozumiesz.

— Jak on grzmi! — mówi dygoczącym głosem Agnieszka.

— Jesteś bardzo dzielna — odpowiada Gustaw — to tylko w pierwszej chwili się tak przestraszyłaś.

Żaden okruh jednak nie spadł ze stołu leśniczego i postanawiają wejść na ławę i zobaczyć, co leśniczy je.

— To jest ryzykowne — mówi Gustaw — może jednak wrócimy.

Agnieszka jest już w pół drogi po nodze dębowej. Trzyma się kurczowo chropowatości i wnet wszyscy troje stoją na ławie. Wspinają się na palce, ale nie widzą, co stoi na stole

przed leśniczym. Naraz leśniczy porusza się i drapie swoją szyję; ruch ten jednak wywołał tyle popłochu, że Agnieszka, Gustaw i Kudłatek niewiele myśląc czmychają do jego kieszeni, gdzie wydaje im się bezpiecznie.

— Ale tu ciemno — mówi Gustaw.

— Coś śmierdzi — stwierdza Agnieszka — może to torfownik.

— Jakże mógłby leśniczy nosić w spodniach torfownik?

— Na razie jesteśmy bezpieczni — mówi Agnieszka. — Tam jest coś miękkiego — dodaje.

Siedzą zawinięci w chusteczce i wyglądają na świat z kieszeni leśniczego. Widać stąd trochę ściany i firanki.

— Tu jest ciepło — zauważył Gustaw.

W tej samej chwili leśniczy skończył jedzenie, odsuwa talerze i sięga ręką do kieszeni po chusteczkę. Wszyscy troje zamykają oczy. Leśniczy smarka. Chusteczka wydyma się, a wszyscy troje, rzućeni strasznym podmuchem, lecą w kierunku żony leśniczego. Usiłują się złapać czegoś.

— Ratuj mnie, Gustawie! — krzyczy Agnieszka.

— Nie krzycz! Sam lecę jak głupi i nie wiem dokąd.

Leśniczy z żoną zauważyli ich. Patrzą, jak spadają na podłogę.

— Jakieś robactwo — mówi żona leśniczego — przynosisz zawsze w kieszeni jakieś świństwo z lasu.

— Co ona powiedziała? — pyta Gustaw. — Świństwo przynosi z lasu, zaraz ją za to ugryzę w nogę.

Podnosi się z podłogi, chwyta oburącz duży palec żony leśniczego i gryzie go z całych sił. Powiedziała „świństwo” — mruczy. Żona leśniczego z powodu grubego naskórka w ogóle nie poczuła strasznego ukąszenia Gustawa.

Tymczasem leśniczy zainteresował się tym, co wyleciało z jego chusteczki.

— To na pewno mrówki — mówi — muszę je zdeptać.

— Ratujcie, wszyscy święci! — krzyczy Agnieszka i rzuca się do ucieczki, za nią Gustaw, a na końcu Kudłatek. Chowają się w szparę, a leśniczy daremnie szuka ich po podłodze.

— Musimy być cicho — przestrzega Agnieszka — bo co by się stało, gdyby leśniczy nas zauważył. Nie chcę o tym myśleć.

Kudłatek zaczyna szczekać.

— Przestań, Kudłatku — prosi go Agnieszka — przecież mogą nas usłyszeć.

— On o tym nie wie — mówi Gustaw — przecież to pies. Ale oni i tak nie słyszą jego szczekania — dodaje. — Tu jest bardzo niebezpiecznie. Leśniczy ma te swoje buty z żelaznymi podkuciami, nie masz pojęcia, co mogłoby się z nami stać, gdyby tędy przeszedł.

— Ciarki przeze mnie przechodzą — mówi Agnieszka i widać, że jej twarz robi się czerwona. — Nie chciałabym być rozdeptana przez leśniczego.

— Idźmy szparą, może dojdziemy do lasu — dodaje.

— Do lasu musimy przejść przez te gąszcze — mówi Gustaw.

Gąszcz — to była trawa, ale dla Patalonków był to wielki gąszcz. Zresztą wdrapać się na sam szczyt żdźbła trawy i kołysać się na wietrze, to wymagało ogromnej odwagi.

Kiedy usiłują iść tą szparą, nagle Agnieszka zapada się, za nią Gustaw z Kudłatkciem.

— Wpadamy do piekła! — krzyczy ona. — Moja koszula.

— Kto tu zamąca mój spokój? — słychać gruby głos z ciemności.

Jednocześnie dwoje zielonkawych oczu, błyszczących białkami, jest wpatrzonych w naszą trójkę.

— To sam diabeł — mówi Agnieszka.

— Żyjesz? — pyta Gustaw.

— Żyję — odpowiada ona — nie wiem tylko, gdzie jesteśmy. Czy to są kamienie?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się ten z ciemności. — Oni nigdy nie widzieli ziemniaków.

— A kim ty jesteś? — pyta Gustaw.

— Jestem Ropuchem i to jest moje królestwo, rządźmy tu razem z żoną leśniczego, ona przechowuje ziemniaki, a ja tu mieszkam.

— Musisz być bardzo zły — mówi Agnieszka — skoro żyjesz w ciemnościach i nie znosisz światła.

— Ja jestem dobry — odpowiada Ropuch,

a jego głos jest tak tubalny, że Agnieszka cała drży.

— Boisz się? — pyta Gustaw.

— Nie boję się — odpowiada ona — ale kiedy Ropuch mówi, to cały dom drży, a ja razem z nim.

— No to się przywitajmy — mówi Ropuch i idzie w kierunku Agnieszki. Jego miękkie łapy chłapią o ziemniaki. — Jesteście bardzo małe — dziwi się.

Wyciąga do Agnieszki swoją łapę.

— Obrzydlistwo — mówi ona — jest mi niedobrze, będę miała torsje.

— Ojej — mruczy Ropuch — nie wiedziałem, że jestem taki obrzydliwy.

— Masz bardzo parchatą skórę — mówi Agnieszka — może gdybyś mieszkał tam u góry, to byłaby ona gładka.

— Tam, u góry mogą mnie kury zadziobać, jakaś wrona może mnie zjeść. Czasem sobie tam wychodzę, ale raczej przy księżycu. A kim wy jesteście? — pyta.

— Jesteśmy Patalonki — mówi Agnieszka. — Nasze królestwo mieści się w lesie głęboko pod mchem.

— A jak tam ze słońcem? — pyta Ropuch.

— Mamy swoje słońce — odpowiada ona. Rządzi nami miłościwie panujący król Sino-brody, zwany Słoneczkiem.

— A jak jest u ciebie, Ropuchu, czy żyjesz tu sam?

— Niezupełnie — odpowiada grzmiącym głosem

sem Ropuch. — Żyją tu jeszcze kret, salamandra, stonogi, dżdżownice.

— Ale ty chyba z nimi nawet nie rozmawiasz? — pyta dalej Agnieszka.

— Nie — odpowiada Ropuch — one mają swój świat i nigdy nawet nie słyszałem, aby między sobą rozmawiały, jedynie dwie salamandry czasem się pokłóca.

— Jesteś chyba bardzo nieszczęśliwy, Ropuchu — mówi zdumiona Agnieszka.

— Ależ nie — odpowiada Ropuch. — Mam swoje pasje. Lubię sobie patrzeć przez szparę i wtedy widzę wszystko, co się dzieje w izbie leśniczego. Lubię przyłożyć ucho do ziemi i słuchać, gdzie jest kret i co robi. A wiecie, Patalonki, że ze mnie jest nie lada figlarz. Lubię sobie pośpiewać.

— O — mówi zdumiony Gustaw.

— O — mówi jeszcze bardziej zdumiona Agnieszka. — Ciekawe, jak ty śpiewasz?

— Zaraz wam zaśpiewam — proponuje Ropuch.

— Chociaż, prawdę mówiąc, może byśmy zrezygnowali — mówi jękać się Agnieszka.

— Ależ nie — odpowiada Ropuch — po raz pierwszy mam takich gości, zaśpiewam, zobaczycie, że będzie się wam podobało.

Ropuch opiera swoje tylne łapy o największy kartofel, przednimi trzyma się za brzuch i wydyma się.

— Ropuchu — krzyczy Agnieszka — ty jesteś chory!

— Może to jest jego postawa do śpiewa-

nia — mówi Gustaw. — Zaczekajmy, co będzie dalej.

Kiedy Ropuch był już zupełnie wydęty, zagrział tak straszliwie, że Kudłatek zaczął szczekać aż do ochrypnięcia.

— Może stąd pójdziemy — powiedziała Agnieszka — zrobiło mi się niedobrze.

Tymczasem Ropuch mówi:

— To jeszcze nie jest mój najwyższy ton.

Znów stoi wydęty, ale tym razem przeszło to wszelkie wyobrażenia. U góry dał się słyszeć głos leśniczego.

— Znowu ta żaba skrzeczy, będzie z pewnością deszcz.

— Nigdy nie pomyślałbym, Ropuchu, że masz taki głos — mówi Agnieszka.

— Myślisz, że ładny? — pyta Ropuch.

— W każdym razie bardzo silny — mówi Agnieszka. Jest przy tym zupełnie błada.

— Niedobrze ci? — pyta Gustaw.

— Tak — kiwa głową Agnieszka — ale zaraz przejdzie. Żeby tylko ten Ropuch dalej nie śpiewał.

— Na dziś wystarczy — mówi Ropuch. — Jutro z samego rana zaśpiewam wam arię.

— Czy to będzie długa aria? — pyta Gustaw.

— Znam takie, które trwają aż do obiadu.

— O, to bardzo długie arie — mówią Patalonki.

— Zaprowadzę was teraz do moich skarbów — mówi Ropuch.

KOLOROWY MOTYL

Idą wszyscy troje przez ziemniaki leśniczego i w samym rogu Ropuch wygrzebuje swoje skarby: ćwierć dżdżownicy, uschniętą stonogę i ogon salamandry. Oczy Ropucha świecą się zielonkawym kolorem.

— Ty masz piękne oczy — mówi Agnieszka.

— Dziękuję ci. Zawsze, kiedy oglądam moje skarby, to czuję w sobie taką radość i myślę, że mi się przy tym oczy świecą.

— To prawda — mówi Agnieszka — ale dotąd na pewno tobie nikt o tym nie powiedział. A gdzie masz swoją żonę? — pyta Agnieszka.

— Ona mieszkała w sąsiedniej piwnicy, gdzie składają drzewo, ale już dawno nie żyje, teraz jestem sam. Jest mi dobrze — mówi Ropuch — tu jest spokój, a kiedy mam nastrój, to śpiewam swoje arie. Mam jeszcze coś — dodaje.

Odsłania całe zwoje pajęczyny i w głębokiej pieczarze leży zemdlący kolorowy motyl. Na skrzydłach ma białe gwiazdki. Naraz otwiera jedno oko i przygląda się Patalonkom.

— Ma takie miękkie skrzydła — mówi Agnieszka.

— Moje skrzydła służą do latania.

— On powiedział, że jest ładniejszy ode mnie — mówi Ropuch. — Z chwilą, gdy to odwoła, wypuszczam go na wolność.

— Nie mogę tego odwołać, Ropuchu, skoro tak nie jest — powiedział motyl.

— Słyszycie, jaki on jest uparty!

— Zapytaj kogo innego — mówi Agnieszka — na przykład salamandry albo wrony.

— Czemu tak myślisz? — pyta Ropuch.

— Przecież wystarczy, że jesteś od nich piękniejszy. Zupełnie niepotrzebnie męczysz tego motyla.

Ropuch chwilę się namyśla, a potem odsłania do końca pieczarę, mówiąc:

— Zgadzam się.

Jego grube bulgotanie pochodzi z głębi trzewi.

O TYM, JAK MOTYL ROZPOZNAŁ MARZENIA PATALONKÓW

Motyl rozprostowuje skrzydła.

— Weź nas na siebie — mówi Gustaw. — Zawieź nas pod wielką sosnę, a będziemy ci bardzo wdzięczni.

— Wiem, gdzie jest wielka sosna — odpowiedział — motyl — ale wy musicie dmuchać, bardzo lubię, gdy jest trochę wiatru.

— Żegnajcie! — mówi Ropuch. — Gdy będziecie kiedyś w tych stronach, to wpadnijcie do mnie, będę już wam mógł wtedy powiedzieć, kto jest piękniejszy, ja czy salamandra, i zaśpiewam wam arie.

— Dobrze, Ropuchu — mówi Agnieszka — a my będziemy długo pamiętać twoją gościnę.

Wszyscy troje lecą uczepieni motyla, najpierw wylatują przez okno, krążą nad psią budą, nad skubiącymi trawę gęsiami, a potem puszczają się w kierunku wielkiej sosny.

— Ale dobrze się leć — zawołała uszczęśliwiona Agnieszka.

— Ty szybko lataasz — mówi do motyla Gustaw.

— Teraz to nic, bo jestem jeszcze osłabiony leżeniem w pieczarze Ropucha, ale kiedy jestem w pełni sił, lecę dwa razy szybciej. Teraz już nie potrzebujecie dmuchać, bo zerwał się lekki wiatr.

— Jak Ropuch mógł cię uwięzić — dziwi się Agnieszka — skoro jesteś taki szybki?

— Ale jestem lekki — mówi motyl. — Wiatr rzucił mnie do piwnicy, a tam oślepiły mnie ciemności, a Ropuch w ciemnościach widzi. On widzi tam lepiej niż my w słońcu. Kiedy już mogłem trochę rozpoznawać w ciemności, leżałem w pieczarze. Jesteśmy pod sosną — stwierdza motyl.

Patalonki schodzą z jego grzbietu, a potem biorą Kudłatka.

— Bardzo nam się dobrze leciało — mówi Agnieszka.

— Gdybyś czegoś kiedyś potrzebował — dodaje Gustaw — możesz na nas liczyć.

— Dziękuję — odpowiada motyl — życzę wam, abyście zdrowi i cali wrócili do swojego królestwa. I życzę wam też, abyście dotarli nad wielką wodę.

— Skąd wiesz, motylu, że jesteśmy w drodze do wielkiej wody?

— Kiedy leciałem — odpowiada motyl — razem z wami leciały wasze marzenia, a my motyle posiadamy dar ich rozpoznawania. Na

pierwszym miejscu waszych marzeń była wielka woda.

— Śmieszne — woła Agnieszka — jakie one są dziwne, te motyle, nawet potrafią rozpoznawać marzenia.

— Słyszałem, że motyle widzą sny — dodaje Gustaw.

— Niektóre tylko — odpowiada motyl — nie wszystkie.

— Szkoda, że Patalonki nie mają motyliich skrzydeł — myśli głośno Agnieszka — mogłyby sobie wylatywać ze swego królestwa, ile razy tylko by zapragnęły.

— To nic trudnego — mówi motyl. — Najlepiej uszyć każdemu z Patalonków skrzydła motyle i to wszystko. A gdyby się bały — dodaje — to niech sobie nasadzą czapeczki z pomponikami, tak aby w każdej chwili mogły sobie zasłonić oczy.

— Jaka wspaniała myśl! — krzyczy i podskakuje z radości Agnieszka. — Kochany motylu! — Bierze go w swoje ramiona i całuje w oczy. Ręce Agnieszki sięgają do połowy grubego i aksamitnego karku motyla, a jego oczy zachodzą mgłą.

— Zostawiam was — mówi motyl — lecę sobie na łąkę, usiądę na żółtym kaczeńcu i rozprostuję skrzydła. Będę teraz omijał piwnicę Ropucha.

— Masz dość rozległą łąkę — mówi Gustaw — jest tam wiele kwiatów i wiele motyli, będzie ci na pewno dobrze.

Motyl żegna się z Patalonkami i odlatuje.

Patrzą za nim. Leci prosto w słońce, aż gdzieś daleko spada jak bomba.

— Dziwny lot mają motyle — mówi Gustaw. — Lecą zakosami, zawsze ich droga jest jakaś kręta, nigdy prosta.

— Napotykają różne przeszkody — mówi Agnieszka — wiatr, ciemności, oślepiające słońce.

— Zauważyłaś; jakie miał długie rogi? — pyta Gustaw.

— Zauważyłam — odpowiada Agnieszka — nawet trzymałam się rękami za nie podczas lotu, one w środku miały coś żywego, myślałam, że się przesuwają z góry na dół.

DWUNASTU ROZBÓJNIKÓW

Agnieszka rozgląda się.

— Wiesz gdzie jesteśmy? — pyta Gustawa.

— Nie wiem — mówi Gustaw — ale Kudłatek nas zaprowadzi, on ma dobry węch.

Kudłatek patrzy w górę na nich oboje i macha ogonem, cieszy się, że są razem i że patrzą na niego. Kiedy tak stoją wśród liści i mchu, ktoś idzie w ich stronę. Ma długą brodę, za pasem nóż.

— To jest rozbójnik — mówi Gustaw. — Ukryjmy się, zanim nas zauważy.

Zbyteczna ostrożność, gdzie by tam rozbójnik zauważył Patalonki; nawet gdyby na nie wszedł, nie wiedziałby, że to one właśnie. Wszyscy troje leżą skryci za dębowym liściem i obserwują

nądchodzącego człowieka. Kiedy stąpił na podszycie i trzasnęły suche gałęzie, Agnieszka zamyla oczy i szeptem:

— Będzie burza albo wojna.

— Nie bój się — mówi Gustaw — do burzy muszą być chmury, a do wojny co najmniej dwóch, a niebo jest jasne, a on jest sam.

Agnieszka znów wysuwa głowę.

Kudłatek zaczyna szczekać. Rozbójnik przechodzi parę kroków od nich.

— Muszą mieć tu niedaleko swoją pieczarę — mówi Gustaw.

Idą za rozbójnikiem. W głębi lasu, pod wielkim dębem rozbójnik otwiera wielką klapę razem z mchem i wchodzi prosto w ziemię. Patalonki i Kudłatek wiedzeni ciekawością zaglądają. Nagle Kudłatek zsuwa się i wpada do środka.

— Nieszczęście — mówi Gustaw. Skręca grubą linę z mchu i spuszcza się po niej. — Nie ma tu nikogo, chodź do środka! — krzyczy do Agnieszki.

Odnajdują Kudłatkę pod suchym liściem i wyciągają go, i otrzepują z piasku. Chodzi zadowolony wokół ich nóg. Stoją na samym skraju ciemnego korytarza.

— Pali mnie ciekawość — zwierza się Agnieszka — dokąd ten korytarz prowadzi i dlaczego rozbójnicy mieszkają pod ziemią, podobnie jak my, Patalonki.

— To zupełnie co innego — mówi Gustaw. — Oni się boją ludzi, bo żyją z ich krzywdy, dlatego mieszkają pod ziemią. Możemy tam zna-

leżć jakieś szkielety albo sztaby złota zrabowane z bogatych domów. . . .

Wszyscy troje puszczają się ciemnym korytarzem w głąb ziemi. Po dość dalekiej drodze natrafiają na drewniane okute żelazem drzwi.

— Musimy czekać, aż ktoś je otworzy — mówi Gustaw.

Tymczasem Kudłatek zaczyna wygrzebywać ziemię spod drzwi.

— Mądry piesek — cieszy się Gustaw — mądry piesek.

Wygrzebują teraz przejście pod drzwiami. Patalonkom wystarczy drobna szparka, toteż wnet mogą się wsunąć do środka.

Za dębowym, grubym stołem siedzi dwunastu rozbójników, a między nimi ten, który wszedł tu przed chwilą. Na grubych szyjach mają srebrne i złote łańcuchy, a ich ramiona okryte są strzępami koszul.

PLAN NAPADU ROZBÓJNIKÓW NA LEŚNICZÓWKĘ

— Dziś w nocy — mówi jeden z nich — leśniczy wychodzi na polowanie, a jego żona zostaje sama. Kto wie, gdzie chowają pieniądze?

— Ja — odpowiada ten, który niedawno wszedł.

— A czy mają złoto? — pyta dalej herszt.

— Wiem, gdzie mają złoto i wino — odpowiada inny.

— Na końcu chałupę spalić! — rozkazuje herszt.

— Ropuch w niebezpieczeństwie — przeraziła się Agnieszka. — Ratuśmy go!

— Jesteśmy słabsze od tych rozbójników — mówi Gustaw. — Nawet gdyby cała nasza kraina ruszyła do obrony leśniczówki, oni są silniejsi.

— Nie zdążylibyśmy dojść do naszej krainy; oni zamierzają napaść na leśniczówkę dziś w nocy. Musimy coś robić — mówi Agnieszka.

— Jesteśmy w bardzo niekorzystnej sytuacji. Wiesz jak daleko jest do leśniczówki? Motyl przebył tę drogę bardzo szybko, a my? — zastanawia się Gustaw.

Siedzą i patrzą na rozbójników, którzy w dalszym ciągu uzgadniają plan napadu na leśniczówkę.

— Gdyby tak wejść im do kieszeni — myśli głośno Agnieszka.

— Musimy tam być przed nimi — mówi Gustaw. — musimy ostrzec leśniczego, aby nie wychodził na polowanie.

— To nic nie da. A co jeden leśniczy poradzi na tylu rozbójników.

Znów się zamyślają.

— Żona leśniczego będzie nam gotowała jedzenie i sprzątała — mówi któryś z rozbójników.

Złote i srebrne łańcuchy świecą na szyi rozbójników. Na stole pali się lampa naftowa, która oświetla ich głowy i z tyłu jakieś porzucane worki, skóry i legowiska. W jednym rogu ściany stoją z błyszczącymi lufami oparte o poprzeczną deskę strzelby. Za skórzanymi pasami rozbójników błyszczą noże.

Jak dobrze, że Patalonki są takie małe.

— Wiem, co zrobimy — mówi Gustaw — uszyjemy sobie skrzydła motyle i polecimy prosto do leśniczówki, nie ma innego wyjścia.

Biorą się razem z Kudłatkiem do roboty. Wokół leżą zeschnięte liście, kawałki kory, mchu, paproci. Wszystko to Patalonki ubijają, prasują i kroją z tego kształt motyli skrzydeł.

Trochę to niesamowite: w samej jaskini zbójców Patalonki kroją sobie motyle skrzydła. Naraz jeden z najbliższych siedzących rozbójników usłyszał widocznie jakiś szelest i patrzy w ich stronę. Siedzą chwilę z zamartwionymi sercami.

— Jakieś mrówki — mruczy do siebie rozbójnik i już nie zwraca na nich uwagi.

Tymczasem Patalonki mają już skrzydła gotowe i dla Kudłatka również. Niestety Kudłatek jest tylko psem i nie potrafi nimi poruszać. Gustaw bierze go więc na plecy i wznoszą się w powietrze.

Są upojeni. Szczęśliwi. Zapominają, że są w jaskini zbójców.

— Cudownie! — krzyczy Agnieszka. — Ale mi się w głowie kręci, muszę sobie uszyć czapkę z pomponikiem, tak jak mówił motyl.

Tymczasem rozbójnicy ich zauważyli.

— Dziwne — mówi siedzący na samym rogu — jak tu mogły dostać się motyle, widocznie poleciały za światłem lampy.

— Mają szare skrzydła — zauważa drugi. — Może to są ćmy — dodaje.

Gustaw robi się cały blady, Agnieszka już nie krzyczy.

— Co teraz będzie? — martwią się. — Zapomnieliśmy, że jesteśmy w jaskini zbójców — mówi Gustaw — za bardzo cieszyliśmy się naszym lotem.

— Najbardziej jestem zła, że myślą, iż jesteśmy śmami.

— Uciekajmy czym prędzej — postanawia Gustaw. — Jeszcze żaden motyl nie czuł się dobrze w jaskini zbójców.

Spadają jak rakiety pod drzwi i wysuwają się swoim dawnym podkopem. Za sobą słyszą ciężkie kroki rozbójników. Ci są zbyt zdumieni mądrością motyli, aby im przeszkodzić w ucieczce.

Tymczasem nasza trójka wylatuje w powietrze z okrzykami szalonego szczęścia na ustach. Agnieszka śpiewa. Lata wokół sosny, potem ginie w słońcu, aby po chwili spaść niespodziewanie w mech. Gustaw kręci większe młynki niż wiatr. Krzyczą, cieszą się tak, że Kudłatek musi się z całych sił trzymać, aby nie spaść.

— Jaka to wielka radość tak latać — mówi Agnieszka.

Wreszcie zdyszani siadają na mchu.

ROZMOWA Z ROPUCHEM

— Lećmy czym prędzej do leśniczówki — nagli Gustaw.

Odrywają się od mchu i wnet są nad czerwo-

nym dachem leśniczówki. Krążą chwilę, potem wpadają do piwnicy.

— O — mówi grubym głosem Ropuch — znowu jakiś niedołęga motyl. A, dwa, — dziwi się.

— To my — mówi Agnieszka — pamiętasz nas, Ropuchu?

— Pamiętam — odpowiada Ropuch — Patalonki, ale byliście bez skrzydeł.

— Masz dobrą pamięć Ropuchu — mówi Agnieszka. — Musieliśmy sobie szybko uszyć skrzydła, aby do ciebie przylecieć i ostrzec cię przed rozbójnikami, oni zamierzają dziś w nocy zrabować leśniczówkę, a potem spalić.

— O, to źle — mówi Ropuch. — Gdyby nie wy, byłbym dziś usmażony, myślę, że bym nie zdążył uciec, ponieważ bardzo wolno chodzę.

— Uciekaj, Ropuchu, jak najdalej i jak najprędzej! — mówi Agnieszka.

— Hm — mruczy Ropuch — ale wiesz, to jest mój dom, bez niego nie będę tym Ropuchem, którym teraz jestem, będę zwykłym łazęgą. Nie chciałbym opuszczać tego domu.

— Trzeba coś zrobić — stwierdza Gustaw — ale w jaki sposób my, małe Patalonki, możemy uratować całą leśniczówkę? To jest niemożliwe.

— Zapraszam was na wieczerzę — mówi Ropuch i wyjmuje ze spiżarni kawałek dżdżownicy, pół stonogi i wiele innych smacznych kęsków, a na końcu muchę. — Zjemy sobie i wtedy może przyjdzie nam do głowy jakaś mądra myśl. Bardzo lubię jeść, a nigdy się nie śpieszę.

— Nie jesteśmy głodni — mówi Agnieszka. —

Ty będziesz jadł, Ropuchu, a my będziemy myśleć, zgoda?

— Zgodą — odpowiada Ropuch i bierze na początek muchę. Oczy mu się śmieją, a brzuch opiera wygodnie na wielkim ziemniaku. — Smakuje mi — mruczy. — Czy już coś wymyśliliście?

— Jeszcze nie — odpowiada Agnieszka — to bardzo trudno zorganizować skuteczną obronę leśniczówki przeciwko dwunastu rozbójnikom, tym bardziej że oni są od nas roślejsi, a na ciebie nie można specjalnie, Ropuchu, liczyć.

— Wprost przeciwnie — krzyczy Ropuch — możecie na mnie liczyć z całym zaufaniem.

— Dziękujemy ci — mówi Gustaw — na pewno będziesz miał ważną funkcję podczas obrony.

— Mogę być zwiadowcą — mówi Ropuch — albo ostrzeliwać boczne skrzydła, nie brak mi odwagi, zobaczycie.

— Jesteś bardzo dzielny, Ropuchu, ale musimy zrezygnować z regularnej obrony, ty na pewno byłbyś dobrym zwiadowcą, bo widzisz w nocy, a oni muszą zapalać latarki.

Oczy Ropucha zaśmiały się na taką pochwałę. Połknął od razu całą dżdżownicę, tak bardzo był zadowolony.

SZEF MRÓWEK

Wreszcie Ropuch siedzi najedzony i patrzy w stronę Patalonków.

— Na pewno nic nie wymyślicie — mówi. —





Po pierwsze jesteście za słabe, a po drugie — jesteście na obcej ziemi i nikogo tu nie znacie. Mieszkają tu obok zaprzyjaźnione ze mną mrówki, zobaczę, czy one mogłyby nam pomóc.

Ropuch puka łokciem w spróchniałą deskę. Po chwili widać świecące się oczy.

— Wołałeś mnie, Ropuchu? — mówi tamten.

— Tak — odpowiada Ropuch.

Wtedy wysuwa się wielka mrówka zza tego spróchniałego drzewa. Ma głowę i świecący, podłużny odwłok. Idzie na swoich cienkich nogach bardzo wykwintnie i z elegancją.

— Potrzebuję twojej pomocy — mówi Ropuch. — Na leśniczówkę dziś w nocy napada dwunastu rozbójników. Musimy odeprzeć ich atak i dać im taką nauczkę, aby nawet w tę stronę nie spojrzeli w przyszłości.

— Hm — mruczy mrówka, widać szef całego królestwa mrówek. — Dwanaście, powiadasz, Ropuchu — dodaje. — To jest bardzo dużo rozbójników. Mrówki są małe.

— Ale jest was dużo — mówi Ropuch.

— Jest nas dużo — powtarza szef mrówek. — Muszę się zastanowić — dodaje.

— Zastanów się — mówi Ropuch — to jest poważna sprawa. Jeżeli przegramy, to cała leśniczówka pójdzie z dymem i z was zostanie pieczeń.

— To zupełnie zmienia sytuację — stwierdza szef mrówek. — Bardzo cię, Ropuchu, lubimy ale wahałbym się posłać na śmierć wiele mrówek tylko dla twego bezpieczeństwa. Ale skoro za-

graża nam wszystkim, to się zrobi, zaraz zorganizujemy cały system obronny.

— Ha, ha — śmieje się Ropuch — ale damy im bobu, w ogrodzie mieszka kilka zaprzyjaźnionych ze mną żmij.

— Oho — dziwi się szef mrówek — słyszałem, że węże i żmije lubią sobie tak zjadać ropuszki, jak to jest, że wy się przyjaźnicie?

— Jeden z nich był ojcem chrzestnym mojego najstarszego syna, a pozostałe były zaproszone na chrzciny.

Ropuch byłby się rozgadał o swojej rodzinie i powiązaniach ze żmijami, ale było późno i należało myśleć o obronie leśniczówki.

— Ja stanę przy płocie — mówi Ropuch — i będę krzyczał, kiedy tylko zobaczę ich wychodzących z lasu.

— My będziemy obserwować wszystko z dachu — proponuje Gustaw.

— My, mrówki, ukryjemy się po kątach we wszystkich pokojach i gdy tylko wejdą, rzucimy się na nich.

— My będziemy sypać im piasek w oczy — mówi Gustaw.

— A węże będą leżały pod progiem — dodaje szef mrówek — tak, aby mogły ich kąsać w nogi. Jedna ze żmij niech wejdzie gdzieś w pobliże sufitu i rzuci się z góry na szefa bandy, i okręci się wokół jego szyi.

— Zrobione — powiada szef mrówek. Od razu przybiera postawę bojową.

— Ale im damy — śmieje się Ropuch.

WIELKA BITWA O LEŚNICZÓWKĘ

Zapada zmrok. Żona leśniczego zapala lampę i siada obok niej z białym kawałkiem płótna i kolorowymi nićmi. Jest sama. Nagle daje się słyszeć gruby rechot Ropucha. Żona leśniczego podnosi głowę i chwilę nasłuchuje, widać zna dobrze wszystkie tutejsze zwyczaje: o tej porze nigdy nie było takiego rechotu. Owszem, inny, spokojniejszy, ale nie taki straszny.

Ale po chwili opuszcza znów głowę nad swoje białe płótno.

— Idą — mówi Gustaw, a ręce jego drżą.

— Tyle światełek — szepce Agnieszka. — Robi mi się zimno.

Zbliżają się. Przechodzą przez płot. Mijają Ropucha, bo nie słysząc już jego rechotu. Dwaj stoją przy drzwiach, a jeden patrzy przez okno.

— Wchodzić! — ryczy herszt bandy.

Drzwi z trzaskiem odskakują i rozbójnicy wchodzi do pokoju, gdzie przerażona żona leśniczego opuszcza białe płótno i łapie za stojące przy piecu polano. Dwaj rozbójnicy wykręcają jej ręce do tyłu i rzucają na środek podłogi. Słysząc jej krzyk.

— Lecimy! — mówi Gustaw.

— Atakować! — ryczy Ropuch.

— Atakować — syczą żmije.

— Do ataku! — piszczy cienko szef całych zastępów mrówek.

W jednej chwili robi się straszliwe zamieszanie. Dwaj, którym Gustaw z Agnieszką nasypali piasku w oczy, wycierają się, trą oczy i klną

tak straszliwie, jak tylko rozbójnicy kląć potrafią. Stojący przy drzwiach, ukąszeni przez żmije, drą się:

— Koniec z nami, pełno żmij!

Żmija z sufitu spada hersztowi prosto na głowę i owija się wokół szyi. Ten rzuca się, cały błądy ze strachu. Pada na podłogę, wije się. Tymczasem całe chmary mrówek oblażyły już wszystkich rozbójników i tną niemożliwie. Ci wytrząsają je z nogawek i walą rękami po plecach i nogach, ale im więcej walą, tym większe chmary mrówek ich atakują. Kotłowanina. Wreszcie wypadają z dzikim wrzaskiem i pędzą w kierunku lasu.

— Jakieś piekło, nie leśniczówka! — krzyczą po drodze.

— Ha, ha — śmieje się Ropuch — więcej już tu nie przyjdziecie!

— Ha, ha — śmieje się szef mrówek, staje obok i mówi: — Tego nie zapomną do końca życia.

Wszyscy bardzo się cieszą, że tak im się udało obronić leśniczówkę przed rozbójnikami.

— Zasłużyliśmy na dobry sen — mówi Ropuch i powoli razem z szefem mrówek idą w kierunku piwnicy.

Żona leśniczego nie śmie wyjść za próg. Wreszcie decyduje się i zaryglowuje drzwi. Długo siedzi jeszcze obok lampy i ręce jej drżą. Jest wystraszona. Późno w nocy pali się światło w leśniczówce. Z piwnicy dochodzi chrapanie Ropucha. Mrówki wróciły do swoich legowisk. Jedyne żmije nie śpią jak to one, lubią sobie

w nocy zapolować na mysz albo żabę, albo na inne przysmaki.

Patalonki lecą w stronę swojego królestwa. Krążą długo wokół sosny, która rośnie na samym środku tego królestwa, aż odsłaniają kilka igieł sosnowych i razem z Kudłatką udają się w głąb pod ziemię.

W DOMU

Tam jest już ranek. Patalonki wstają, przeciągają się, wychodzą przed drzwi i patrzą na drogę. W ich ogrodach kwitną sady wiśniowe, z ich drzwi paruje zapach nocy. Szczęśliwa jest kraina Patalonków. W domu Agnieszka, Gustawa i Kudłatka witają siostry, bracia i ojciec z matką. Ojciec wkładał akurat drugi skórzany but i jednym okiem zauważył wchodzących do domu.

— Jesteście — mówi. — Dziś zawiadomilibyśmy naszą policję, która by was szukała. Dobrze, żeście przyszli.

Agnieszka siada na rogu drewnianego łóżka i patrząc naokoło mówi:

— Jestem w domu. — Robi się czerwona, marszczy brodę, kryje twarz w dłoniach i płacze.

Matka kładzie swoją rękę na jej kolanach i mówi:

— Niepokoiliśmy się o ciebie, wołaliśmy cię wszędzie naokoło, ale nie odpowiadałaś. Jedynie Gustaw był tak śmiały i poszedł daleko stąd, aby cię szukać.

— Chciałam iść nad wielką wodę — mówi Agnieszka — ale po drodze był Ropuch, motyl, leśniczówka, rozbójnicy.

Siostry i bracia patrzą okrągłymi z ciekawości oczyma na siostrę.

— Widziałas prawdziwie ludzką leśnicówkę? — pyta jedno z nich.

— Widziałam — odpowiada Agnieszka.

— Opowiedz jeszcze, jak tam było u góry.

I Agnieszka zaczyna opowiadać o wszystkim, co jej się przytrafiło u góry wśród zwierząt i wielkich ludzi, o których wiele Patalonków nie ma pojęcia.

— I nie dotarłaś do wielkiej wody? — mówi matka.

— To jest bardzo daleko — dodaje ojciec. — Mój pradziad wspominał zawsze, że jego daleki przodek imieniem Anastazy był nad wielką wodą, ale nic więcej o nim nie wiedział. Nie wiedział nawet, czy ten Anastazy wrócił.

— Czy znasz jednak drogę do wielkiej wody? — pyta dalej matka.

— Nie znam — odpowiada Agnieszka — ale zaprzyjaźniłam się z Ropuchem i motylem i być może oni mogliby coś poradzić.

— Zapomniałaś o żonie leśniczego — wtrąca Gustaw. — Podobno ludzie są najmądrzejsi, a kto jak nie oni mogliby wiedzieć?

— Oni nas mogą nie zrozumieć — mówi Agnieszka. — Pamiętasz, jak leśniczy chciał nas zadeptać, bo sądził, że jesteśmy robactwem.

— Robactwo — krzywi się ojciec i jego twarz

robi się szara. Patrzy przenikliwie na Agniesz-
kę. — On tak wprost powiedział? — pyta.

— Tak — odpowiada Agnieszka. — Byliśmy
u niego w kieszeni i kiedy wyjął chusteczkę,
i zaczął smarkać, wypadliśmy.

— O — zdziwiły się siostry.

— O — zdziwili się bracia — byliście u niego
w kieszeni? Ile to wymagało odwagi!

— Ale to brzydko powiedział — dodaje mat-
ka.

— Może nie wiedział, że to są Patalonki —
usprawiedliwia leśniczego jeden z braci Gusta-
wa.

— Mógł nie wiedzieć — mówi w zamyśleniu
ojciec. — Chciałbym jednak tam być, pokazał-
bym mu, kto jest robactwem.

— Czy ojciec widział kiedyś człowieka? —
pyta Gustaw.

— Nie, nigdy — odpowiada ojciec — ale dał-
bym mu radę na pięści.

Agnieszka z Gustawem śmieją się.

— Oni są jak chodzące góry — mówi Agniesz-
ka. — Oni są wyżsi niż największa wieża w na-
szej krainie — dodaje.

— O — mówią wszyscy — więc oni są bardzo
wysocy.

— Wyżsi od wieży — mówi w zamyśleniu
ojciec.

— A leśniczówka? — pyta matka.

— Leśniczówki nie potrafiliśmy objąć wzro-
kiem — mówi Agnieszka — zresztą spędziliśmy
wiele czasu u Ropucha w piwnicy.

— Co to jest Ropuch? — pyta ojciec.

— On jest wdowcem — mówi Agnieszka — ma swoje pasje, lubi podglądać leśniczego i jego żonę przez dziurę w podłodze, jest już dość stary i bardzo nas polubił. Początkowo nie wiedział, kim jesteśmy, ale myśmy się mu przedstawili. Bardzo nam się u tego Ropucha podobało.

Otwierają się drzwi, wchodzi sąsiedzi. Kłaniają się i siadają na niewielkich stołkach. Wieść o wydarzeniu, którym było zaginięcie Agnieszki i Gustawa, obiegła znaczną część krainy, a Patalonki są bardzo ciekawe, lubią wszystko wiedzieć, co się w ich krainie zdarzy.

— Czy tam też słońce świeci? — pytają Agnieszkę jedni sąsiedzi. — Czy wiele ludzi żyje na świecie?

Agnieszka mogła odpowiedzieć jedynie na niektóre pytania.

Sąsiedzi byli bardzo zadowoleni. Ręce ich leżały na kolanach, a oczy wlepili w opowiadającą o wielkim świecie Agnieszkę. Wreszcie, kiedy ona skończyła, jeden z sąsiadów, wysoki Antoni, jak go nazywali, rzekł:

— To wszystko jest niezwykle ciekawe, co opowiadasz, Agnieszko. Czy mogłabyś nam wskazać drogę do owego Ropucha, do jaskini zbójców i do łąki, na której żyje motyl?

— Chętnie to zrobię — mówi Agnieszka — ale tam tyle niebezpieczeństw, że możecie już nie wrócić, przy tym odległości są straszne, dobrze byłoby mieć skrzydła.

— Tak, bez skrzydeł jest bardzo ciężko — dodaje Gustaw.

— Ale można sobie usiąść na przykład na

wróbla albo na sikorkę — mówi wysoki Antoni.

— Bardzo trudno jest dostać się Patalonkowi na wróbla — mówi Agnieszka — chyba, że na wielkiego pająka, ale one prowadzą osiadły tryb życia.

— No i mogłyby pomyśleć, że jesteśmy muchami — dodaje Gustaw.

— Okrutny jest tamten świat — mówi matka. — Jedni uważają Patalonki za robactwo, a drudzy za muchy.

— Jesteśmy małe — mówi ojciec — na to nie nie poradzimy.

— A czy jest ktoś mniejszy od nas? — pyta jedna z sióstr Agnieszki.

— Słyszałem o takich krainach — odpowiada ojciec — w których żyją jeszcze mniejsze Patalonki. Siegają nam do pasa — dodaje.

— Hi, hi, jakie zabawne — śmieją się Patalonki. Takie małe, muszą mieć też o połowę mniejsze domy, talerze, widelce, łóżka.

— A może wcale nie mają widelców ani łóżek — mówi Gustaw — takie małe.

— Ale chociaż małe — mówi Agnieszka, to muszą na czymś spać i jeść.

— To prawda — przytakują sąsiedzi — mają najwyżej to wszystko o połowę mniejsze.

Wszyscy się śmieją, bo wyobrażają sobie, jakie to królestwo musi być małe. I króla mają małego.

— Na pewno — mówi Agnieszka. — Nie mógłby być wielki* król w takim małym królestwie, musieliby dla niego przygotować spe-

cjalne łożko, specjalne konie, widelce, a przecież król musi być równy ze swoimi poddanymi.

— Ciekawe, jak to jest u ludzi? — zastanawia się jeden z sąsiadów.

— Nie wiemy — odpowiada Agnieszka — poznaliśmy z Gustawem jedynie leśniczego i jego żonę, żadnych innych ludzi nie poznaliśmy.

— Ciekawe, czy ludzie są szczęśliwi? — zastanawia się matka Agnieszki.

— Sądzę, że są — odpowiada w zamyśleniu ojciec. — Skoro są tacy wysocy, pewnie wyżsi niż drzewa, to mogą jabłka zrywać rękami albo dzikie konie chwycić na lasso, dla Patalonków wszystko to jest niemożliwe.

— O, tak, to jest niemożliwe — mówią sąsiedzi. — Patalonki są za małe.

POLECIMY NAD WIELKĄ WODĘ

— Czy wciąż jeszcze marzysz o wielkiej wodzie? — pyta Agnieszkę jeden z sąsiadów.

— Marzę — odpowiada Agnieszka — i znam pewną tajemnicę, dzięki której może dotrę nad wielką wodę.

— Powiedz, jaka to tajemnica? — zaciekawiają się wszyscy słuchający. — Powiedz, Agnieszko! Powiedz!

— Powiem wam — odpowiada Agnieszka — chwilkę zaczekajcie, aż lepiej usiądę.

Siada wygodnie na ławie, przedtem siedziała na drewnianym skraju łożka.

— Potrafimy z Gustawem uszyć skrzydła motyle i kiedy się nimi macha, to unosi się w górę i leci, leci.

Agnieszka zamyka oczy.

— Ale my nie jesteśmy motylami — mówią sąsiedzi — możemy mieć zawroty głowy i spaść.

— Dlatego każdy musi sobie uszyć czapkę z pomponem i kiedy się będzie bał, to zasłoni sobie tą czapką oczy.

— To byłoby dobre — mówią Patalonki, a oczy im się śmieją, a usta układają w łagodną linię. — To byłoby dobre — powtarzają. — Musicie nas z Gustawem nauczyć szyć te skrzydła motyle i być może wszystkie polecimy nad wielką wodę, bo w Palatonkach istnieje taka tęsknota za wielką wodą, jedynie ty, Agnieszko, chciałaś ją zamienić w rzeczywistość. Każdy Patalonek marzy o tym, aby raz w życiu być nad wielką wodą, ale mało komu się to udaje. Obecnie w naszym królestwie nie żyje nikt, kto widziałby na swoje oczy wielką wodę.

— Polecimy! — krzyczą sąsiedzi.

— Polecimy! — woła Agnieszka cała rozradowana.

Panuje wielka radość, Kudłatek szczeka, Patalonki biorą się w objęcia, tańczą, krzyczą, śpiewają. Coraz to słyhać słowo: polecimy! Dowiadują się o tym w innych częściach krainy i wieść roznosi się radosna, że Patalonki na skrzydłach polecą nad wielką wodę. Muzykanci grają, Patalonki tańczą, strzelają z armat, wiwatują. Taka jest wielka radość na wieść, że polecą nad wielką wodę.

Nareszcie ziści się marzenie każdego Patalonka, aby na własne oczy zobaczyć wielką wodę. Ogromna jest radość w całej krainie.

PAULINA

Wreszcie zaczynają pod okiem Agnieszki i Gustawa szyć każdy dla siebie skrzydła motyle. To wymaga wiele pracy. Ale w krainie Patalonków wrzało od rozmów, fachowych uwag, dowcipów. Skończyło się tamto monotonne życie, każdy wiedział, że teraz się coś zdarzy. Zanedbano zupełnie życie towarzyskie, jedynie ziemię uprawiano i fabryki pracowały, w przeciwnym bowiem razie Patalonkom groziłby głód.

Na końcu wynikła sprawa z kolorem. Okazało się, że wszystkie skrzydła były szare.

— Należałoby je pomalować — zaczęły mówić niektóre Patalonki.

— Tak, pomalować! — rozniosło się po całej krainie.

Zapytano Agnieszkę, jak to jest z tym malowaniem i ile kolorów mają prawdziwe motyle, czy nie zjedzą ich jakieś ptaki po drodze, skoro będą tak imponująco wyglądały, i czy farba nie obciąży za mocno ich skrzydeł. Agnieszka objaśnia, że widziała tylko jednego motyla, ale wie na pewno, że na łące żyją jeszcze inne o różnych kolorach, zatem dlaczego nie miałyby mieć i Patalonki kolorowych skrzydeł? Każdy z Patalonków wymieszał farbę w inny deseń i teraz na ziemi leży tysiące schnących skrzydeł. Patalonki stoją obok i się przyglądają. Rozmawiają na

ten temat. Nikt jeszcze nie przymierzył sobie tych skrzydeł do ramion, nikt jeszcze nie wznosił się w górę. Każdy jednak przeczuwał, że dokona tego ktoś z otoczenia Agnieszki. Wreszcie skrzydła są suche. Rozmowy dotyczą latania. Siostra Agnieszki podnosi jedno skrzydło i zakłada sobie na ramię. Jest ono koloru nieba, ciemny błękit. Potem zakłada drugie i staje tak wśród tłumów, kolorowa i wzruszona.

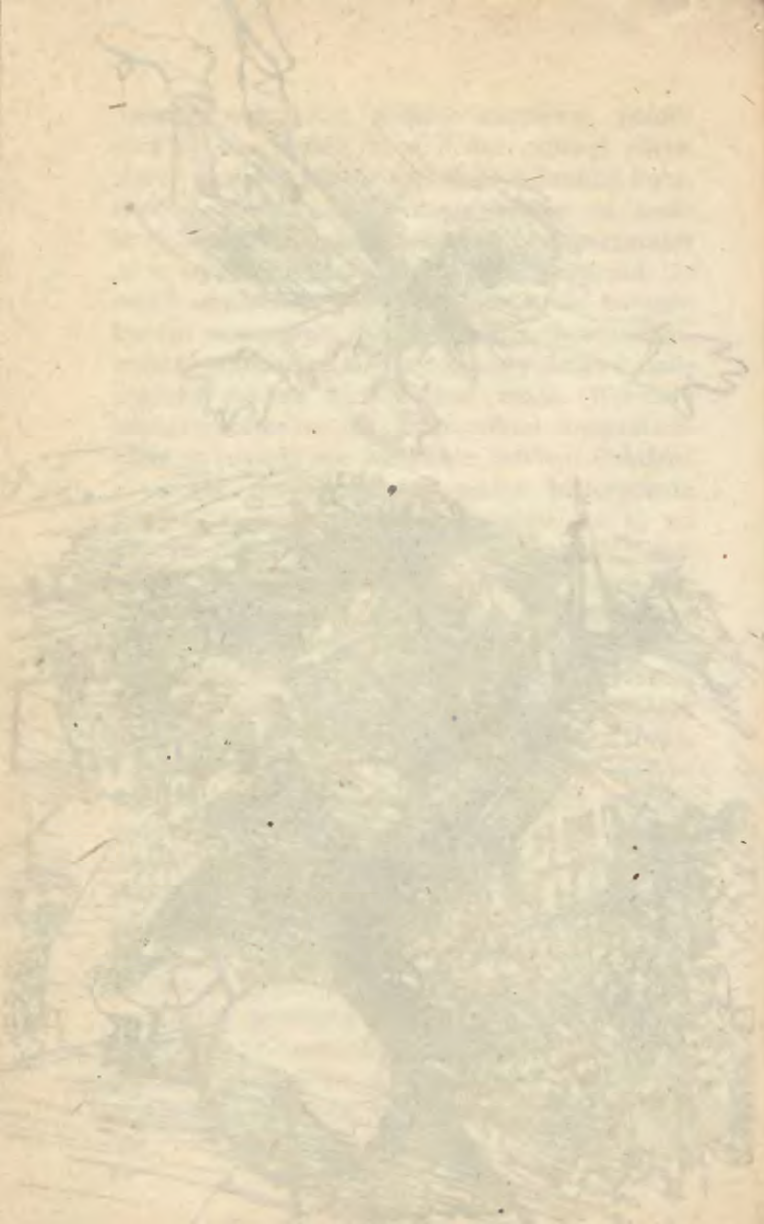
— Dajcie jej czapeczkę — mówią Patalonki.

Gustaw przynosi czapeczkę z pomponikiem i siostra Agnieszki wkłada ją sobie na głowę. Patrzy po wzruszonych Patalonkach. I wszystkie zdają sobie sprawę, że dzieje się tu coś niezwykłego: pierwszy Patalonek wzniesie się na skrzydłach.

Jest cisza. Wielka to chwila w krainie Patalonków. Uczeni historycy pootwierali swoje kroniki i patrzą na zegary, aby zanotować tę sekundę, w której siostra Agnieszki odbije się nogami od ziemi i aby ten ważny historycznie fakt otrzymały do wiadomości przyszłe pokolenia. Złotnicy wybijają medale pamiątkowe z podobizną siostry Agnieszki, a pod spodem zostaje wyryty napis: „Paulina”, bo takie było jej imię. Poeci układali wiersze, inspirowani tą wielką chwilą, i nawet powstała pieśń o dzielnej Paulinie, która nie bała się wzniesć hen, wysoko, gdzie wzrok nie sięga. Tę pieśń zaśpiewano. Wzruszenie ogarnia wszystkich. Łzy pojawiają się w oczach matki Pauliny, nie może uwierzyć w to szczęście, że wydała na świat taką sławną córkę, o której układają pieśni w ich krainie. Na

twarży ojca widać wielkie skupienie, ponieważ w ten sposób chce dodać odwagi córce. Zaraz wydarzy się coś wielkiego w krainie Patalonków, dystygowane damy siedzą na krzesłach i przykładają szkiełko do oka, trzymając je w wypudrowanej ręce za srebrną rączkę. Te damy uśmiechają się kącikami ust, są bowiem bardzo wzruszone. Ich mężowie prowadzą niezwykle ożywione i mądre rozmowy, które świadczą, że się na tym dobrze znają. Wreszcie wielu reporterów stoi z aparatami fotograficznymi w rękach, nie wszystkie bowiem Patalonki mogły przybyć na to ważne historycznie miejsce. Kamery telewizyjne ustawione są na dachach domów, na drzewach, na drabinach, tak aby w tym samym momencie mogły przekazać całej krainie obraz lotu Pauliny. Wszyscy patrzą na Paulinę ze wzruszeniem. Czekają na króla Sinobrodego, zwanego Słoneczkiem. Wreszcie zajeżdża powóz, z którego wysiada król. Staje obok Pauliny i wygłasza długą mowę. Chwali Agnieszkę, Gustawa i Kudłatka, mówi dobrze o całej krainie Patalonków, a kiedy zwraca wzrok na Paulinę, głos mu chrypi i daje rozkaz żołnierzom, aby wystrzelili z armat. Cała kraina Patalonków zatrzęsła się i Paulina odrywa się powoli od ziemi. Wrzask Patalonków jest tak wielki, bo nigdy w historii tej krainy nic takiego się nie zdarzyło. Król płacze. Kobiety piszczą, mężczyźni podnoszą zaciśnięte pięści i wołają ochrypłymi głosami: ho-hej, ho-hej! Paulina jest już wyżej niż dachy domów, wyżej niż drzewa, wyżej niż najwyższa wieża w całej krainie. Mie-





nią się jej skrzydła. Kilka Patalonków umarło na atak serca, takie to było przeżycie. Trudno już kamerom telewizyjnym rejestrować lot Pauliny, Patalonki stają coraz bardziej przechylone do tyłu, każdy chce jak najwięcej zobaczyć. Wiele z nich mruży oczy, innym łyzy lecą, ponieważ jest to wielki wysiłek wciąż tak obserwować lot Pauliny. Sprawozdawcy drą się jeden przez drugiego, któryś z nich zawisł na gałęzi drzewa, a telewidzowie w pierwszej chwili myśleli, że to Paulina, potem dopiero inni sprawozdawcy wyprowadzili ich z błędu. Kiedy Pauliny nie było już prawie widać, Patalonki zaczęły krzyczeć: — Załóż czapeczkę na oczy, Paulino! — Nikt nie wie, czy ona to usłyszała czy też nie. Kiedy już nic nie było widać na niebie, Patalonki zaczynają krzyczeć: — Paulino, wróć!

Tylko echo wraca, ono nigdy nie jest inne.

Wreszcie, gdy wszyscy już ochrypli, widać było, że punkcik na niebie się powiększa.

— Wraca — szepczą wszyscy.

— Wraca — odpowiada znów echo.

Paulina jest coraz większa, już zsunęła czapkę z pomponem z oczu. Z rozłożonymi skrzydłami krąży nad głowami Patalonków, aż wśród wielkiego zgiełku i we wrzawie ląduje na wielkim pustym placu. Rzucają się do niej, kto może, całują skrzydła, miłościwie panujący król Sinobrody niesie wielki krzyż i przypina do piersi Pauliny z tak słodkim uśmiechem, że wszystkim robi się miło na sercu.

— Jesteś — mówi Agnieszka.

— Jestem — odpowiada Paulina.

— Jak tam było? — pyta matka.

— To jest inny świat — odpowiada Paulina. — Czuje się tam swobodę, wolność. Skrzydła to jednak wielka rzecz.

— O, tak, to wielka rzecz — powtarzają Patalonki.

Uczeni historycy opisali już w swoich kronikach lot Pauliny tak, że teraz jest pewność, iż przyszłe pokolenia o tym się dowiedzą. Paulina udzielała wywiadów, wszystkie gazety o tym pisały na pierwszych stronach dając różne ujęcia póź samej Pauliny, raz w locie, raz podczas lądowania, i tak rozmaicie.

PRZED LOTEM NAD WIELKĄ WODĘ

Teraz Patalonki były zdecydowane ruszyć w powietrzną podróż. Zaczęto coraz częściej mówić o wielkiej wodzie. Napisano na ten temat dużo książek, a Patalonki, zwłaszcza młodsze, zaczytywały się w nich. Powstały najbardziej fantastyczne obrazy tej wielkiej wody. Wiele Patalonków twierdziło, iż ukazali im się wysłańcy znad wielkiej wody.

W każdym razie w całej krainie wrzało. Nie było innego tematu ważniejszego w gazetach jak wielka woda. Starzy jak zwykle doradzali ostrożność, ich dziełem były powieści najeżone grozą — ile jest niebezpieczeństw po drodze do wielkiej wody. Zwyciężył jednak entuzjazm. Został naznaczony dzień wylotu w całej krainie.

Każdy z Patalonków znał ten dzień na pamięć. W każdym domu co rano cała rodzina szła czyścić skrzydła. Dopasowywano je sobie do ramion, nakładano czapeczki i zasłaniano nimi oczy. Poruszenie było wielkie.

Nikt nie chciał zostać. Ciągnięto więc losy, kto nie poleci nad wielką wodę. Potrzeba było obsługiwać artylerię, uprawiać pole, i było wiele innych prac. Te Patalonki, które wyciągnęły los, że zostaną, płakały. Pocieszano je jednak, że niebawem wyruszy druga wyprawa, wtedy one polecą pierwsze.

PATALONKI LECAJĄ NAD WIELKĄ WODĘ

Nadszedł długo oczekiwany ranek. Agnieszka zakłada skrzydła, będzie lecieć pierwsza, na czele wszystkich Patalonków, jako że zna drogę przynajmniej do leśniczówki. Zastanawiano się, czy odwiedzić Ropucha, w końcu ustalono, że wszystko zależy od pogody; jeżeli wylądują w pobliżu leśniczówki, to odwiedzą Ropucha.

Agnieszce drżą ręce. Przypina paski tych swoich skrzydeł i wciąż są za luźne. Jest przejęta jak zresztą wszystkie inne Patalonki. Jeszcze nigdy nie było takiego wydarzenia w historii tej krainy. Jeżeli Patalonki szczęśliwie wrócą, to dzień ten będzie obchodzony jako święto narodowe.

Michał wkłada czapkę, układa pompon na plecach i obserwuje swoją siostrę. W domu zostaje jedynie matka; ojciec, Paulina i Mieczysław.

sław lecą również. Żegnają się. Matka dotyka ich swoją ręką wypowiadając słowa, które mają ochronić przed niebezpieczeństwem. Wszędzie, po całej krainie widać rozłożone skrzydła motyle, a pośrodku nich roześmiane Patalonki, każdy z czapeczką, którą w razie czego może nasunąć na oczy. Drogi i pola, wszystko zasłane jest skrzydłami. Takich kolorów jeszcze nigdy tu nie widziano.

Gotowy był też wylot przez grubą warstwę mchu. Kiedy słońce już rozgrzało wszystko na dobre, rozdzwoniły się dzwony na wysokich wieżach, zaczęły śpiewać chóry śpiewaków, a na twarzach Patalonków widać było wzruszenie. Niektórym drżą usta, inne wlepiają wzrok w ziemię, jeszcze inne rozkładają skrzydła do lotu. Wreszcie odzywają się srebrne dzwony stolicy Patalonków i Patalonki jedno po drugim zaczynają odrywać się od ziemi.

Agnieszka leci pierwsza, za nią całe tłumy jej ziomków. Kraina Patalonków jest zacieniona, one bowiem sobą przesłoniły słońce. Wznoszą się Patalonki coraz wyżej i wyżej, aż Agnieszka przelatuje przez wielki otwór w mchu przygotowany przez inżynierów. Za nią cała chmara skrzydlatych postaci. Są zupełnie podobne do motyli.

SZARAŃCZA

Wylatują nad ziemię. Mijają rozrośnięte gałęzie sosny, krążą nad łąką. Z daleka widać czer-

wony dach leśniczówki. Lecą nad zabudowania tej leśnej siedziby.

Z piwnicy wygląda Ropuch.

— A co to — mruczy — jakaś czarna chmura, skąd ona się wzięła, przed chwilą jej nie było? — Przygląda się najpierw jednym okiem, potem drugim, a oba mu błyszczą bardzo.

Chmura zniża się.

— Hm — mruczy Ropuch — jak żyję, czegoś takiego nie widziałem. Zniża się — mówi do siebie.

Wreszcie chmura zakrywa sobą całe niebo. Patalonki lądują. Całe zabudowanie leśniczówki robi się kolorowe. Słychać śmiechy, rozmowy. Tuż przy Ropuchu siada Agnieszka z Gustawem.

— A, to wy — mówi zdumiony Ropuch. — Widzę, że razem z wami lecą wszystkie Patalonki.

— Lecimy nad wielką wodę — zwierza się Agnieszka.

— To wielka wyprawa — mówi Ropuch — nigdy nie byłem nad wielką wodą, ale wy, Patalonki, jesteście bardzo mądre i na pewno tam doleciecie.

— Myślę, że tak — odpowiada Agnieszka. — Po drodze chcieliśmy odwiedzić ciebie — dodaje.

— To dobrze — mówi Ropuch — bardzo się cieszę, że pamiętaliście o mnie, zaraz wam opowiem, co zdarzyło się w domu leśniczego.

— Wiesz, Ropuchu — mówi Gustaw — to jest na pewno interesujące, ale nie mamy tak wiele czasu, aby do końca wysłuchać twoich opowieści, musimy lecieć, przed nami daleka droga.

— To prawda — przyznaje Ropuch, gdybyście nie mieli takiej dalekiej drogi przed sobą, moglibyście u mnie zabawić nieco dłużej, na koniec zaśpiewałbym wam arie, teraz umiem ją dobrze.

— Cieszymy się ze znajomości z tobą, Ropuchu — mówi Gustaw — masz na pewno dobre serce, ale teraz żegnaj.

Ropuch zrobił się smutny. Patrzy po kątach, aby ukryć łzy.

— No, skoro musicie — mówi — mogę sobie wyobrazić, jaka to daleka droga.

Agnieszka z Gustawem żegnają się i głosy ich drżą, ponieważ bardzo polubili grubego i ociężałego, o dobrym sercu, Ropucha.

Czas już był najwyższy, bo leśniczy akurat wychodził na ganek, a widząc takie mrowie Patalonków, zawołał do żony:

— Chodź, Matylko, zobaczyć szarańczę, ona nas zeżre! Szybko przynieś truciznę, musimy wytruć, co się da.

— A, psiakrew! — mówi król Sinobrody, zwany Słoneczkiem, siedzący na skraju dachu. — Tacy są ludzie. Oni myślą, że jesteśmy szarańczę. Trzeba im wypowiedzieć wojnę.

W tej chwili nadlatuje Agnieszka i siadając obok Sinobrodego mówi:

— Myślę, że ludzie nie są źli. Oni po prostu nie wiedzą, kim jesteśmy.

— Mają za duże oczy — mówi Sinobrody.

— I za duże nogi — dodaje Gustaw.

— I za duże uszy — dodają inne Patalonki.

— I za duże czapki! — krzyczą inne.

Tymczasem żona leśniczego niesie biały wo-

reczek trucizny. Patalonki odrywają się od ziemi, od dachów.

— Nie są zbyt gościnni — mówią.

Wszystkie Patalonki uniosły się wysoko, a żona leśniczego nie zdążyła nawet odwiązać konopnego sznurka przy worku.

SPOTKANIE ZE ŻMIJĄ I PSAMI STEPOWYMI

Patalonki są wysoko, leśniczówka ginie im z oczu coraz bardziej, coraz bardziej. Podczas lotu rozmawiają ze sobą, śpiewają. Kierują się na południe.

Nagle jeden z Patalonków, lecący najniżej, krzyczy:

— Wielka woda, wielka woda!

Wszyscy zniżają swój lot. Pod nimi rozpościera się coś białego, błyszczącego. Najdziwniejsze, że nie posiada końca.

— Czyżby to była wielka woda? — mówi Gustaw.

— Słyszałem, że jest na końcu świata — mówi jeden z Patalonków. — Czyżby świat był taki mały?

Dziwi to i inne Patalonki, że świat jest taki mały.

— Lądujemy — decydują Patalonki.

Odbyło się powietrzne głosowanie, bo część Patalonków chciała lecieć dalej, ale większość głosowała, aby lądować. Osiadają na białej, twardej grudzie, która, jak okiem sięgnąć, rozciąga się przed nimi. Nikt nie wie, co to jest. —

Może by kogoś zapytać — radzą jedno. Wreszcie pod kępą trawy zauważono leżącą żmiję.

— Powiedz nam, żmijo, gdzie jesteśmy? — pytają Patalonki.

Żmija ziewa.

— Obudziłyście mnie — mówi. — Spałam sobie smacznie. Skądście się wzięły? Jak się nazywacie?

— Jesteśmy Patalonki, lecimy nad wielką wodę, a teraz nie wiemy, gdzie się znajdujemy.

— Słyszałam o wielkiej wodzie — mówi żmija — ale nigdy nawet nie marzyłam, aby tam dojść; zresztą lubię życie osiadłe, wędrowców uważam za nic dobrego, oni tylko wykorzystują tych, którzy lubią życie osiadłe.

— Ale wędrowcy mają swój własny cel — przekonują Patalonki.

— To prawda — mówi żmija — lecz ja nie rozumiem ich celu, chociaż wielokrotnie mi o tym opowiadali.

Żmija wypręża się, ziewa jeszcze raz i jej długi jadowity ząb jest cały odsłonięty i wyszczerzony.

— Lubisz się wygrzewać w słońcu — mówi jeden z Patalonków. — Mamy znajomego Ropucha, który wciąż przebywa w piwnicy i od tego ma bardzo szarą skórę.

— Ja lubię słońce — odpowiada żmija. — Moi krewni opowiadali mi, że jest jakaś leśniczówka, gdzie dwie żmije zaprzyjaźniły się z niejakim Ropuchem, może to ten sam.

— To ten sam — mówi Gustaw — te dwie żmije mieszkają w ogrodzie.

— Tak, tak, w ogrodzie — potwierdza tę wiadomość żmija. — To jest step — mówi — nie wiem, jak go ludzie nazywają, mam tu sporo znajomych, między innymi małe psy stepowe, ale one też wiodą osiadły tryb życia. Myślę, że nikt z nas nie będzie wiedział, w którym kierunku należy lecieć nad wielką wodę.

Patalonki robią sobie obiad z trawy, obok nich leżą skrzydła, a one siedzą na rozgrzanych kamieniach. Żmija obserwuje je i raz po raz mruczy coś do siebie. Wreszcie zwija się i, wystawiwszy łeb pośrodku swojego kłębowiska, drzemie. Widać dziwi się Patalonkom, nie może zrozumieć, co ich gna nad wielką wodę.

— Nigdy step nie był taki kolorowy — mówi wreszcie do Gustawa, który akurat przechodził obok żmii.

— Dziwne — zastanawia się Gustaw — ty żyjesz w stepie, my pod mchem. Ropuch w piwnicy leśniczówki, i jest nam dobrze.

— Myślę, że nie moglibyśmy się pozamieniać — mówi żmija. — Ja lubię swój step, cóż robiłabym pod mchem albo w piwnicy? Idą psy stepowe — informuje żmija — zabłądziły.

— Żmijo! — wołają z daleka. — Nie wiesz, co się stało z naszym stepem? On zmienił kolor!

— To są Patalonki — żmija uspokaja psy. — Przyleciały na swoich kolorowych skrzydłach. Kiedy odlecą, znajdziecie zgubioną drogę.

— A — dziwią się psy — nie słyszeliśmy nigdy o żadnych Patalonkach, muszą mieszkać gdzieś daleko.

— Lecą nad wielką wodę — mówi żmija.

— Oho — dziwią się psy — aż nad wielką wodę. Nie możemy im w niczym pomóc, bo nawet nie znamy drogi nad wielką wodę. Ale niech mają chociaż nasze dobre słowo — dodaje drugi pies.

Patalonki dziękują psom stepowym za dobre słowo i ze swej strony również ofiarowują im swoje dobre słowo.

LODOWY LABIRYNT

— Lecimy dalej — mówi Agnieszka.

Żegnają się ze zmiją i rozwijają swoje skrzydła. Wznoszą się ponad step. Pod nimi jest szaro, trochę trawy, zmije, psy stepowe.

Są coraz wyżej, coraz wyżej. Kolorowe skrzydła mieszają się z niebem, barwią świat różnymi kolorami, najwięcej srebrem i złotem. Dużo jest Patalonków, pełen świat. Dobrze, że mają skrzydła, mogą sobie lecieć nad wielką wodę, dobrze, że są one kolorowe, świat dzięki temu nie jest szary tak jak step.

Kiedy tak lecą, mijając morza i oceany, naraż pierwsze Patalonki zaczynają słabnąć.

— Jakieś zmienne prądy powietrza — krzyczą do tyłu do swych towarzyszy.

Robi się zimno. Patrzą do góry, a tam jakieś szklane sklepienie, patrzą na dół, a tam to samo.

— Gdzie jesteśmy? — pytają jedne drugich.

Żadne z nich jednak tego nie wie.

— Tu jest pięknie — mówi Agnieszka — ale zimno.

Ich skrzydła odbijają się w tych lustrzanych ścianach tak, że z jednego Patalonka robi się dziesięć. Nie potrafią rozpoznać, które Patalonki są prawdziwe, a które odbite, często rozmawiają ze swoimi odbiciami.

Lądują.

— To jest lód — informuje jeden ze starszych Patalonków — dostaliśmy się do lodowego labiryntu.

— Nie ma nic gorszego niż taki labirynt — mówią do siebie Patalonki. — Nikt tu nie żyje i nie wiadomo, jak stąd wyjść.

Cała ich wesołość gaśnie. Stoją smutne z opuszczonymi skrzydłami i nawet nie mają chęci ze sobą rozmawiać. Wiele z nich zaczyna narzekać:

— Gdyby tak w ogóle nie wyruszać nad wielką wodę, siedziałybyśmy teraz spokojnie w swojej krainie. Kto wie, czy wyjdziemy stąd żywe? Przyjdzie nam zamarznąć w takim lodowcu.

Coraz więcej Patalonków narzeka. Jest zimno. Na skrzydłach pojawia się szron. Patalonki rozgrzewają sobie ręce. Jest coraz smutniej. Bardzo młode Patalonki zaczynają płakać. Idą piechotą, ale jest tu tyle korytarzy, które się przecinają, że nie wydaje się możliwe, aby mogły stąd kiedyś wyjść.

— Nie płaczcie — mówi król Sinobrody, zwany Słoneczkiem — rozdzielimy się i każdym korytarzem pójdzie kilka Patalonków, a któryś z tych korytarzy musi prowadzić ku wolności.

— A co będzie z tymi, co wybiorą fałszywe korytarze, te, które prowadzą donikąd? — pytają króla Patalonki.

Król Sinobrody myśli chwilę, po czym mówi:
— One zginą, na to nie ma rady.

Zrobił się taki wrzask nieopisany, aż niektóre Patalonki od tego ochrypły. Każdy chciał wybrać ten korytarz, który prowadzi ku wolności, ale nikt nie wiedział, który to jest. Ciężka to była chwila dla Patalonków, bardzo ciężka. Na nic się zdały wszelkie klótnie, ponieważ wszystkie korytarze wyglądały jednakowo. Wszystkie były białe, wszystkie były zimne i może w innych okolicznościach mogłyby być piękne, ale nie w chwili, gdy ważą się losy wielu Patalonków. Wiele Patalonków miało głowę do interesu i zareklamowało niektóre korytarze jako te prawdziwe, zarabiając przy tym żywność, która się już kończyła. Z tego powodu przy niektórych korytarzach powstał tłok, a inne pozostawały puste. Ciężka to była chwila dla Patalonków. Bały się nawet te, które uwierzyły interesmenom. Niektórym skrzydła przymarzły do ścian i przy odrywaniu wyszczerbiły się. Na ścianie pozostawał kolorowy znak i te Patalonki wyglądały jak obszarpane.

— One wolą zginąć wspólnie niż gdzieś w pustym korytarzu — mówi Gustaw do Agnieszki.

Ich rodzina poszła również tam, gdzie szło dość dużo Patalonków.

— Nie ma tu nigdy nocy ani dnia — mówi Agnieszka — jest wciąż jednakowo.

— W labiryncie nic się nie zmienia — dodaje Gustaw.

— Wiesz — myśli głośno Agnieszka — chciałabym zdobyć dla innych drogę do wolności.

— To jest bardzo trudne i ryzykowne — mówi Gustaw. — Jeżeli wybierzesz pusty korytarz, sama jedna prędzej zginiesz.

— Nie mogę patrzeć, gdy one tak narzekają, płaczą, klócą się — dodaje Agnieszka.

— Nic na to nie poradzisz — odpowiada Gustaw — korytarzy jest tak wiele, a ten prawdziwy tylko jeden.

— Ale te fałszywe są połączone z prawdziwym — mówi Agnieszka.

— Tak — odpowiada Gustaw.

— Zatem każdy jest prawdziwy! — woła w uniesieniu Agnieszka.

Gustaw patrzy na nią zdumiony. Po chwili mówi:

— Masz rację, to nie jest sprawa wyboru korytarza, tu idzie o wybór kierunku.

Przedstawia to innym Patalonkom i one przyznają mu rację.

MARTWA ŁĄKA

Szły więc śmiało w jednym kierunku i niedługo potem zobaczyły światło.

— Światło! — krzyczą zupełnie opętane, wala się skrzydłami, piszczą, robią kozły, śpiewają, tańczą i płaczą. — Światło — mówią — dotarliśmy. Nie zginęliśmy.

Po chwili wychodzą na światło inne Patalonki, te, które szły innymi korytarzami. Jaka to była radość! Ich oczy świecą się, usta są roześmiane. I ręce, i głosy im drżą.

— Jesteśmy wszystkie — stwierdzają. — To jest podwójna pociecha — mówią. — Dziwny labirynt — śmieją się — żeby wszystkie korytarze prowadziły w tym samym kierunku.

— Korytarze nie prowadzą w żadnym kierunku — prostują inne — ale myśmy szły dobrze. To są mądre słowa. Stoją teraz na łące pełnej kwiatów, a za nimi lodowy labirynt ze swoimi lustrzanymi białymi ścianami.

— Łąka — mówią do siebie — taka sama jest niedaleko leśniczówki.

— Ale to nie jest ta sama — stwierdzają inne Patalonki.

Trzeba przyznać, że Patalonki są bardzo mądre. Chodzą teraz po trawie, dotykają jej rękami, siadają na kwiatkach, są zupełnie podobne do motyli. Kładą się na wznak. Śpią. Słyszą rozmowy.

— Dziwna ta łąka — mówi Agnieszka — nikt na niej nie mieszka.

Różne myśli przychodzą im do głowy, ale żadna nie wydaje się prawdopodobna. Wreszcie jeden z Patalonków mówi:

— Myślę, że to jest sztuczna łąka.

— Tak — mówią inne — zobaczcie, ta trawa nie rośnie, te kwiaty też nie rosną, one tak po prostu są zaklęte w wieczność.

— To musi być chyba wpływ lodowca — zastanawia się król Słoneczko.

— Tak, lodowiec jest martwy — mówią Patalonki — przeszliśmy przez granicę śmierci i to jest inny świat, czyżby tu była wielka woda? Jeżeli długo będziemy przebywać na tej łące, to i nasze skrzydła zrobią się papierowe, sztuczne, a my będziemy jak te kwiaty, piękne, ale martwe. W oczach Patalonków widać przerażenie.

— Może wrócić z powrotem — radzą inne.

— Nie mamy odwrotu — mówi Gustaw — za nami labirynt i nie wiadomo, czy wytrzymałybyśmy piekło tych pokręconych korytarzy.

— Nie ma odwrotu — mówią drugie — ten sztuczny świat musi się kiedyś skończyć.

Patalonki unoszą się na swoich skrzydłach wysoko nad martwą kolorową łąką. Z tyłu za nimi lśni lodowiec. Lecą teraz Patalonki ożywione, rozmowne, roześmiane. Potrafią wznieść się nad martwym światem, potrafią pokonać kręte korytarze labiryntu. Wszystko to potrafią małe, dobre Patalonki. Prawdziwa to radość słuchać ich w powietrzu. Nie muszą nakładać na oczy czapeczek, nie muszą bać się, że nie dolecą nad wielką wodę. Wszystkie wierzą, że wnet ją zobaczą.

O TYM, JAK PATALONKI UZNAŁY SADZAWKĘ ZA WIELKĄ WODĘ

W oczach Patalonków odbija się słońce takie radosne i szczęśliwe. Są zresztą bardzo blisko słońca, bliżej niż do tamtej martwej łąki.

— Jak takie łaki mogą istnieć? — dziwi się Agnieszka.

— Nie miałybyśmy o nich pojęcia, gdybyśmy nie leciały nad wielką wodę. Może one mają z tą wodą coś wspólnego? — zastanawia się Gustaw.

— Zobaczmy — mówi Agnieszka.

Lecą dalej. Coraz wyżej i dalej.

— Zobacz — mówi Agnieszka do Gustawa — jak na mojej ręce odbija się jakiś złoty promień.

· Oglądają ten złoty ślad.

— To jest gdzieś z boku — mówi Gustaw.

Śledzą bieg promieni. Wychodzi spomiędzy dwóch chmur.

— Mam wrażenie, że trzymam te chmury w garści — zwierza się Agnieszka.

— A mnie się wydaje, że masz dłoń pełną złota — mówi Gustaw.

— Chciałabym mieć dłoń pełną złota — marzy Agnieszka — sypałabym nim po świecie, bardzo lubię ten kolor. Zobacz, Gustawie — dodaje — wyglądamy jak miękki, kolorowy dywan. Dzieli on niebo od ziemi. Wiesz, jak pięknie wyglądamy?

— Nikt nigdy nie uważał Patalonków za brzydkie — mówi Gustaw.

— Jest! — krzyczy nagle ktoś z Patalonków.

Patrzą w dół. Pod nimi rozciąga się gładka powierzchnia wody z ciemnymi pasmami.

— Łądujemy na brzegu! — Patalonki przekazują sobie z ust do ust wspólne postanowienie.

— Ładujemy! — słychać ze wszystkich stron. Naraz widzą pod sobą taki sam kolorowy dywan Patalonków.

— Tamte przybyły tu przed nami — stwierdzają zmartwione. — Nie będziemy więc pierwszymi Patalonkami nad wielką wodą. (Nie wiedziały one bowiem, że jest to ich własne odbicie). Zaczęły więc z tym swoim odbiciem rozmawiać. Tylko echo wracało.

— Z nimi nie można się dogadać — mówią zdenerwowane Patalonki i siadają na brzegu.

Tam siedziały akurat dwie żaby. Widząc siebie w takim kolorowym wieńcu, oczy żab robią się bardzo okrągłe ze zdziwienia. Patalonki wdają się z żabami w rozmowę.

ŻABY DORADCAMI KSIĘCIA

— To nie jest żadna wielka woda — mówią żaby i śmieją się rehotliwie. — To jest sadzawka w wielkim parku, który należy do księcia.

— Oo — dziwią się Patalonki — czyż może być jeszcze większa woda?

— Pewnie wybieracie się nad ocean — mówią żaby. — To jest wielka woda.

— Wy jesteście bardzo mądre — mówią Patalonki do żab — wy nawet wiecie, jak się ta wielka woda nazywa.

— My wiemy — mówią żaby — wszyscy na dworze księcia to wiedzą.

— Pewnie należycie do dworu książęcego? — pytają Patalonki pełne szacunku wobec żab.

— A jakże — odpowiadają dumnie żaby. — A jakże — dodają na potwierdzenie.

— Jaką funkcję spełniacie na dworze księcia? — pytają Patalonki.

— Jesteśmy jego doradcami — mówią żaby, a oczy ich są coraz bardziej okrągłe.

Patalonki nabierają do żab jeszcze więcej szacunku.

— Pewnie doradzacie księciu w sprawach wojny? — pytają Patalonki z zapartym tchem.

— Nie lubimy wojen — odpowiadają żaby — i na ogół odwołujemy księcia od zamiaru prowadzenia wojny.

— Jakie mądre żaby — dziwią się coraz bardziej Patalonki. — Jakie mądre żaby. Skoro już tu jesteśmy — decydują się Patalonki — chętnie poznamy księcia i jego dwór, a potem udamy się w dalszą drogę w poszukiwaniu wielkiej wody.

— To nie jest nic trudnego — mówią żaby — na pewno znajdziecie wielką wodę, skoro macie skrzydła. Nam byłoby o wiele gorzej, ale nam wystarczy sadzawka, nie tęsknimy do wielkiej wody. Dziwi nas tylko to — dodają — że jesteście takie małe, a macie takie wielkie marzenia.

— Takie już jesteśmy — odpowiadają żabom Patalonki.

— Chodźmy więc na dwór księcia — mówią żaby.

Idą przodem powoli, człapiąc i posapując.

Za nimi Patalonki ze swymi skrzydłami w pewnej odległości, tak jak przystało, gdy się idzie z kimś godnym szacunku.

ALE TU PIĘKNIE — MÓWIĄ PATALONKI NA ZAMKU

Żaby stają na drewnianym progu wielkiego zamku i zaczynają kumkać. Tymczasem niedaleko chodził bocian i słysząc ich kumkanie poderwał się, a żaby zupełnie oszalałe ze strachu rzuciły się do ucieczki. Jedna znalazła się pod schodami, a druga w dziurze po spróchniałym drzewie. Bocian znudził się i poszedł sobie, a nasze Patalonki czekały wciąż przed drzwiami księcia. W końcu stwierdziły, że żaby już się więcej nie pokażą i będą musiały same wejść do komnat.

Akurat wielkie, podwójne drzwi się otwierają i wychodzi książę.

— Co to? — dziwi się książę. — Kim jesteście?

— Jesteśmy Patalonkami — odpowiadają one — lecimy nad wielką wodę i przypadkowo wylądowałyśmy nad brzegiem waszego stawu. Spotkałyśmy żaby, ale one się gdzieś zapodziały na widok bociana.

Książę śmieje się. Jest wysokim, młodym mężczyzną i kiedy się uśmiecha, widać dwa rzędy białych zębów.

— Nigdy nie widziałem Patalonków — mówi śmiejąc się. — Jesteście zupełnie podobne do motyli, ale postać macie ludzką.

— Mieszkamy pod mchem — informują — daleko stąd, tuż obok leśniczówki.

— Wiem, gdzie jest leśniczówka — mówi książę — to nie jest tak daleko; musiały was znosić wiatry, że ta podróż tak długo trwała.

Książę zaprasza Patalonki do zamku. Otwiera przed nimi szerokie drewniane drzwi, a one wszystkie wchodzą. Nad nimi wysoko wiszą kryształowe świeczniki, ściany są pokryte malowidłami, a krzesła i stoły są z rzeźbionego drzewa. Najwięcej tu bieli, ale jest i czerwień, i nieco czerni.

Patalonki otwierają usta z zachwytem.

— Ale tu pięknie! — wołają. — Ale tu pięknie!

— Czy wszyscy ludzie w twoim księstwie tak mieszkają? — pytają książę.

— Nie — odpowiada książę — tylko ja sam.

— Musisz czuć się bardzo źle w tym pięknym zamku — mówią Patalonki — przecież oni ani cię lubią, ani rozumieją, skoro jesteś od nich inny.

— To prawda — mówi książę — sam nie wiem nieraz, dlaczego jest mi tak źle. Ale nie jest też możliwe, aby każdy zbudował sobie zamek... to nie jest możliwe, a ktoś musi tu mieszkać.

Siedzą Patalonki z zafrasowanym księciem i myślą, jak by temu zaradzić. Nie wiedzą. Książę zaprasza ich na ucztę. Siedzą za stołem, piją kompot ze szklanych talerzyków i bardzo im się to podoba. Stają na brzegu talerza, nabierają pełne ręce i piją. Wszystko

u księcia jest dla nich za duże. Kiedy już wypili kompot, mówią, że nigdy nie myślały, iż będą brać udział w takiej uczcie. Książę uśmiecha się do nich, jest pogodny, cieszy się, że Patalonki odwiedziły go w tym wielkim, drewnianym zamku. Zaprasza je, aby odwiedziły go ponownie w drodze powrotnej. Patalonki odlatują z ganku zamku książęcego. Zostawiają za sobą sadzawkę, żaby, bociana i cały ten park. Rozmawiają ze sobą. Są zadowolone.

TO JEST NASZA WIELKA WODA. PIĘKNA JEST TA WIELKA WODA

Naraz słyszą w dali dzwonięcie srebrnych dzwoneczków. Początkowo sądzą, że to nieznane ptaki śpiewają. To jednak nie były ptaki. To muchy, niemal zupełnie przezroczyste. Ich skrzydła podczas lotu wydają srebrne dźwięki. Patalonki nawiązują z nimi w locie rozmowę.

— Czemu tak dzwonicie? — pytają zaciękawione. — Słysząc was już bardzo daleko.

— Jesteśmy stróżami tej krainy — mówią muchy — tu zaczyna się kraina, w której jest wielka woda.

— Hura — krzyczą Patalonki — jesteśmy niedaleko! Nie rozumiemy jednak, dlaczego wy wydzwaniacie tak srebrzyście na jej granicy — dziwią się Patalonki.

— To nie jest wcale dziwne — odpowiadają muchy — po prostu ostrzegamy każdego, kto się tam udaje, że obowiązują tam inne prawa. Nie wolno tam rozmawiać, jeść ani się śmiać.

— Dziwna to kraina — mówią Patalonki.

— Kto nie dochowa jednego z tych warunków, będzie zamieniony w rybę albo w drobny kamyk nadmorski — informują muchy.

— Nic nas nie wstrzyma przed podróżą nad wielką wodę — mówią Patalonki. — Będziemy milczeć, będziemy głodować, nikt z nas się nawet nie uśmiechnie.

— Życzymy, aby wam się to wszystko udało.

Muchy są bardzo życzliwe, ale zdają sobie sprawę jakie ciężkie są to warunki.

Patalonki są dobrej myśli.

— Szkoda tylko — mówią — że nie mamy takich dzwoneczków jak wy, byłoby nam w tych podniebnych rejonach weselej, a tak tylko rozmawiamy ze sobą.

Muchy pozostają, a Patalonki wkraczają w krainę, gdzie jest wielka woda. Rozglądają się wszędzie. Lecą wolniej. Nic nie mówią. Jest cicho. Słyszą jedynie szum skrzydeł. Dawno ucichły srebrne dźwięki much, strażniczek tej krainy. Nagle cały dywan Patalonków zaczyna falować. Zamykają oczy. Nie mogą patrzeć na to, co się rozciąga przed nimi.

To jest wielka woda. Bezkresna. Błękitna, trochę pomarszczona. Patalonki nie wierzą swoim oczom. Takie piękno. Taka dal. Tyle migotliwej przestrzeni. Urzeczony opadają powoli na biały nadbrzeżny piasek. Miękki ich dywan rwie się. Dzieli się na cząstki, które przyklejają się do piasku. Jest kolorowo. Jest pięknie. Ocean leży w swym cichym błękitcie, a grzbiet jego kołysze się. Jest cisza. Żadne z Patalon-

ków nic nie mówi, na pewno dlatego, że nie wolno tu mówić, ale też i ze zdumienia. Żadne z nich nie miało pojęcia o wielkiej wodzie, żadne z nich nie sądziło, że to taka ogromna przestrzeń.

Dotykają stopami wody. Jest miękka, ciepła i błękitna. Niektórym z nich zakrywa stopy. Kładą swoje skrzydła obok i zanurzają się aż po pachy, aż po szyję. I kiedy wychodzą z wody, i krople opadają z nich mieniając się po drodze, Patalonki nie wytrzymują, zaczynają krzyzczeć, śpiewać, śmiać się, pluskać, skaczą do góry, tańczą. Trwa to zaledwie sekunde, gdy nagle jedne zaczynają się robić okrągłe i kładą się na brzegu. Ich śmiech gaśnie. Inne, siedzące w wodzie, zamieniają się w ryby i nurkują na dno. Robi się cicho. Pozostają skrzydła. Wśród tych skrzydeł siedzą Agnieszka z Gustawem i płaczą. Jedyne oni nie brali udziału w tej zabawie i oni ocaleli. Są jednak sami, nad wielką wodą w krainie milczenia, a wokół nich leżą kolorowe skrzydła Patalonków, które tu przyleciały. Gustaw siada bliżej Agnieszki, bierze jej rękę i tuli do siebie. Stara się nie płakać, ale broda mu drży i oczy mu się świecą. Cały urok wielkiej wody pryska. Nie ma się z kim cieszyć. Nie ma się z kim cieszyć! Naokoło jest pusto. W dali gdzieś przeszło wielkie zwierzę, wyglądało na kangura. Poszło do lasu, który stąd widać.

Gustaw bierze do ręki patyk i pisze nim na piasku: „To jest nasza wielka woda”. Agnieszka bierze w obie ręce ten sam patyk i pisze

„Piękna jest ta wielka woda”. Starają się nie patrzeć na siebie, aby na twarzy nie pojawił się przypadkowy uśmiech. Starają się za wszelką cenę pozostać takimi Patalonkami, jakimi tu przyleciały. Nie chcą być zamienione w ryby albo w okrągłe nadbrzeżne kamyki. Szukają swoich skrzydeł. Zapinają je na ramionach. Chwilę patrzą na wielką wodę, na leżące skrzydła Patalonków, na kamienie nadbrzeżne i udają się w drogę powrotną. Z daleka słysząc srebrne dźwięczenie much.

— Zostało was tylko dwoje? — dziwią się muchy.

— Ocaleliśmy zupełnie przypadkowo — mówi Gustaw. — Podczas gdy wszystkich ogarnęła wielka radość, myśmy nurkowali w wielkiej wodzie i gdy wypłynęliśmy, już nikogo nie było. Dziwna to kraina — mówi Gustaw — tyle w niej piękna, a taka cicha. Nigdy nie zmałł jej śmiech, żaden głos tam nie mieszka.

— Kryje się w niej jakaś wielka tajemnica — dodaje siostra Gustawa.

— Nie znamy przeszłości tej krainy — mówią muchy — ale zapytajcie się dębów, one są bardzo stare i na pewno znają całą przeszłość.

Agnieszka z Gustawem dziękują muchom za wiadomość i unoszą się w powietrze, kierując się w stronę starego lasu, gdzie na samym skraju rosną wielkie, rosochate dęby.

— Jak tylko będziecie czegoś potrzebować — wołają za nimi muchy — to przyjdźcie do nas, zawsze wam pomożemy.

O CZYM SZUMIAŁ STARY DĄB

— Nie zauważyłeś, Gustawie — mówi Agnieszka — że te muchy miały inny głos, gdy lecieliśmy w tamtą stronę, a inny głos, gdy lecieliśmy z powrotem.

Gustaw zastanawia się przez chwilę.

— Wiesz, że masz rację — mówi — wydało mi się, że to nawet nie te same muchy, uderzyła mnie inna muzyka ich dzwoneczków, gdy lecieliśmy w tamtą stronę, była ona bardziej srebrzysta.

Oboje lecą w milczeniu i się zastanawiają. Wtedy mija ich jaskółka. Zaczyna z nimi rozmowę.

— Znam wasze kłopoty — mówi — nie wiercie muchom, one są zwodnicze, to są zaklęte wróżki. To za ich sprawą wasi koledzy pozamieniali się w kamienie i ryby, to one rządzą całą tą krainą.

— Nie rozumiem, dlaczego im zależy na tym, aby zwodzić podróżnych? — dziwi się Agnieszka.

— Bo to są wróżki — odpowiada jaskółka.

— Dziękujemy ci, jaskółko — mówi Gustaw — ale skąd możemy wiedzieć, że ty mówisz prawdę w tym zwodniczym świecie? — dodaje. — Może też jesteś wróżką?

— Zapytajcie się lwa — odpowiada jaskółka — on jest prawdomówny.

Spoglądają oboje w kierunku lasu, a tam lew siedzi i drzemie. Nie patrzy w ich stronę, najpewniej w ogóle ich nie widzi. Siadają Pa-

talonki na grzywie lwa i krzyczą mu prosto w ucho:

— Czy znasz tajemnicę krainy z wielką wodą?

Lew podnosi łeb, ale w tej samej chwili zaczyna szumieć stary dąb:

— To jest smutna kraina, kto w nią wejdzie, już nie ma odwrotu.

Szum starego dębu rozchodzi się głębokim echem i mróz przenika do kości od tego głosu.

— Nieprawda — mruczy lew i oboje Patalonki drżą od tego głosu — to jest kraina szczęścia, a w tym dębie jest zaklęty czarodziej, który ma złą moc.

— Kto to mówi? — szumi dąb. — Kto to mówi? Zaraz go zamienię w rybę albo w kamień.

OKRUTNA WALKA LWA Z CZARODZIEJEM

Patalonki są coraz bardziej wystraszone. Biegną w stronę brzóz, na co jest już najwyższy czas. Nad dębem unosi się czarna postać, na którą lew rzuca się z pianą w pysku. Rozpoczyna się walka. Jest to straszna walka. Błyskawice rozrywają niebo. Dąb przechyla się aż do ziemi. Lew z rozwianą grzywą przecina niebo. W pysku trzyma nogę Czarodzieja. Czarodziej rozcapierza się, zakrywa całe niebo, pluje jadem. Patalonki zasłaniają sobie oczy, są całe zatrute. Słyszą ryki, rżenie. Lew spada. Chwilę leży na ziemi. Podrywa się i pę-





dzi w kierunku dębu. Gałęzie dębu płoną. Pełno ognia. Głównie lecą w stronę lwa. Cały dąb płonie. Patalonki krzyczą:

— Usmażymy się!

— Gustawie, nie wytrzymam — mówi Agnieszka. — Nie wytrzymam. Co tu się dzieje? — dodaje. — Po co lecieliśmy nad wielką wodę?

W tym momencie lew wydoił chmurę i zalał rozszalały ogień płonącego dębu.

— Jaka ulga — mówi Agnieszka — jak dobrze, że nie jesteśmy usmażeni.

Ale w miejsce ognia zaczyna zalewać ich woda. Czarodziej ryczy, aż las się trzęsie cały. Ma brzydki, charczący głos.

— Walka skończona? — pyta Gustaw.

— Walka nie jest skończona — mówi lew — to koniec jednej bitwy, a walczymy tu od początku świata i nie zanosi się na żadne jej zakończenie.

Patalonki dziwią się temu wszystkiemu.

— Dzisiejsza bitwa rozpoczęła się z waszego powodu — dodaje lew.

— Ale chyba nie gniewasz się na nas? — mówi Agnieszka przymilnie i idzie pocałować zmęczonego bitwą lwa w sam pysk.

— Nie gniewam się — odpowiada lew. — Czuję, że stoczę z nim jeszcze jedną bitwę z waszego powodu.

— Zawsze myślałam, że dęby są takie sympatyczne — mówi Agnieszka. — Dlaczego więc Czarodziej przybrał postać tego szlachetnego drzewa?

— Właśnie dlatego — mówi lew. — On jest bardzo chytry.

— A gdyby dąb ten ściąć i spalić — zastanawia się Gustaw — może zginąłby i Czarodziej?

— On zamieniłby się w inny dąb — odpowiada lew. — Musielibyście ściąć i spalić wszystkie dęby na świecie, a gdybyście ścinali ten ostatni, na miejscu pierwszego wyrósłby już nowy. Ta myśl nie ma szans powodzenia.

— Czy nie ma więc na niego rady? — pyta zatroskana Agnieszka. — Czy nie ma sposobu na uwolnienie Patalonków leżących na brzegu wielkiej wody, pozamienianych w kamienie i pływające ryby?

— Może jest — odpowiada lew — ale, niestety, ja nie znam takiego sposobu.

— A kim są muchy? — pyta Gustaw lwa.

— Muchy to wróżki, które służą Czarodziejowi — odpowiada lew — może ktoś wam już o tym mówił?

— Mówiła o tym jaskółka — odpowiada Gustaw. — Dziwne tylko, że wydawały nam się takie dobre — dodaje Gustaw — i dźwięk srebrnych dzwoneczków bardzo nam się podobał.

— Nikt tego nie wie — mówi lew — ale one są jakimiś więźniami Czarodzieja, to słyszeć w ich głosie, ale dźwięk ich skrzydeł przypomina dzwonienie srebrnych dzwoneczków i w tym dźwięku mieszka Czarodziej, który ma nad nimi władzę.

Patalonki kładą się obok lwa i odpoczywają.

Myślą. Na grubych gałęziach dębu leży przewieszony Czarodziej w czarnym płaszczu z czerwonymi rękami i dysząc wywalił swój ogromny czerwony jęzor.

— Jesteś dla nas bardzo dobry — mówi Gustaw do lwa — bo gdybyśmy pytali dąb o tajemnicę tej krainy, jak radziły wróżki, Czarodziej byłby nas omotał tymi swoimi drażniącymi pazurami.

— On to potrafi — mówi lew — już słyszę jego szum. „Jesteście skazani na zagładę, zaraz przyjdzie kościasta śmierć i zajrzy wam w oczy, zostanie po was jedynie próchno”.

— Jedynie próchno — powtarzają Patalonki.

— Robi mi się zimno od tego — mówi Agnieszka.

— Nie bójcie się — pociesza lew — dopóki ja tu jestem, nic wam nie grozi.

O TYM, JAK JASKÓŁKA URATOWAŁA LWA I PATALONKI OD ZAGŁADY

Tymczasem Czarodziej zaczyna się przeciągać. Poprawia na sobie potargany płaszcz. Schodzi z dębu i teraz dopiero Patalonki widzą, że zamiast rąk ma dwa piękne srebrne dzwony. Muzyka, która z nich powstaje, jest czarowna, usypia pola i lasy i ma w sobie taki urok, jakiego nigdzie na całym świecie nie ma. Jest coraz bliżej. Agnieszka z Gustawem otwierają oczy w zdumieniu.

— Nigdy nie słyszeliśmy takiej muzyki — szepczą.

Czarodziej jest coraz bliżej, jego czarne oczy płoną. Lew zmęczony bitwą i upojony tą muzyką zamyka oczy. Kiedy Czarodziej jest za ledwie o krok od nich, nagle jaskółka siada na nosie lwa i krzyczy:

— Zbudź się, Czarodziej cię zabije!

Lew w jednym mgnieniu się zrywa, Patalonki od tego pędu padają gdzieś daleko na drodze. Słyszą straszny, rozdzierający ryk lwa. A tamta muzyka zamienia się w gruby rechot.

— Ach, to tak — mówi Gustaw — więc to tylko z wierzchu było takie piękne, wewnątrz jest to zły rechot. Widzisz, co stałoby się z nami, gdyby nie jaskółka. Widać lew ma tu wielu przyjaciół, bez nich Czarodziej na pewno by go pokonał, bo jest zbyt łatwowierny i zbyt dobry.

Ostatnich słów Gustawa nie było już słyszeć, ponieważ zagłuszył je wielki ryk lwa, ochrypły wrzask Czarodzieja i ziemia pod nimi stękała. Zwarli się obaj od nowa. Lew wymierzył łapą taki cios Czarodziejowi, że ten potoczył się daleko w las. Ale już za moment grzywa lwa zapala się, ten wpada oszalały do jeziora gdzieś na horyzoncie. Słyszą śmiech Czarodzieja, ale lew jest już z powrotem. Nie sie wielki głaz i ciska nim w Czarodzieja. Ten dostaje w nogę i rycząc ucieka na dąb. Lew za nim. Wpadają obaj w błoto i słyszą stękanie. Wreszcie lew łapie Czarodzieja zębami za ramię, a tamten trzyma jego ogon w zębach. Gryzą się tak, że spomiędzy zębów idą skry.

Padają obaj. Pod Czarodziejem trzasnęło kilka drzew, a tam, gdzie upadł lew, powstało jezioro.

— Straszna to była bitwa — mówi Agnieszka — sto razy cięższa od tej pierwszej.

Lew leży i dyszy. Liże swój przegryziony ogon.

— Czego ty bronisz, lwie — pyta Gustaw — że masz tyle sił i ochoty, aby się mocować z Czarodziejem? Musisz mieć w tym jakiś głęboki cel. A może jesteś tylko maską Czarodzieja i to on sam w dwóch osobach wciąż ćwiczy swoje siły?

Lew się śmieje.

— Jesteście w błędzie — mówi — chociaż rozumiem was, wydaje wam się bezsensowne takie poświęcenie. Ja jestem dobry — mówi lew — i razem ze mną zwycięży dobro.

— Więc ty wierzysz w dobro? — pyta Gustaw. — Dziwne — mówi — wśród Patalonków również istnieje takie słowo, ale uczeni nad nim pracują i dopiero będą na ten temat pisać książki.

— Hm — zamyśla się lew — nie umiem czytać, szkoda, mógłbym wtedy przeczytać księgi mądrych Patalonków.

— To nie szkodzi — mówi Agnieszka — chętnie ci przeczytamy, będziemy do ciebie przychodzić wieczorami i czytać ustępy z ksiąg Patalonków.

— Będę wam wdzięczny, bo w przerwach między bitwami z Czarodziejem bardzo się nudzę.

— Zrobione — mówi Gustaw — kiedy akurat

będzie bitwa z Czarodziejem, zamkniemy księgi i pójdziemy nad jezioro.

— Cieszę się — powiada lew — nie lubię samotności, i może dlatego jestem wciąż blisko Czarodzieja. Dobrze, że będziecie do mnie przychodzić wieczorami.

— Powiedz nam, lwie — mówi Agnieszka — jak moglibyśmy uwolnić naszych ziomków z mocy Czarodzieja? I powiedz też jeszcze, czy istnieje wielka woda w innej krainie.

— Ja znam tylko jeden sposób, aby uwolnić się od Czarodzieja — zwierza się lew — walczyć z nim; jak widzicie, nie udaje mi się go pokonać. A wy do tego jesteście bardzo małe, nie potrafiłybyście się przeciwstawić Czarodziejowi.

— Kto to wie? — mówi Gustaw. — My mamy rozum.

— Hm — zamyślił się lew — to jest coś. Ale was jest za mało — dodaje po chwili — na co wam ten rozum, skoro macie wspólnie tak mało sił?

Patalonki siedzą zamyślane.

DZIKIE GĘSI

Kiedy tak siedzą i rozmawiają, ponad ich głowami lecą dzikie gęsi. Zwalniają lot i przysłuchują się rozmowie.

— Macie kłopoty — mówi wielki gąsior bardzo grubo.

Podczas tego mówienia przygląda się Patalonkom uważnie. Patalonki opowiadają gąsiorowi o swojej sprawie, a dzikie gęsi na dwóch łapach patrzą jednym okiem, potem drugim i bardzo się temu, wszystkiemu dziwią. Lew opowiada im swoje sławne bitwy z Czardziejem.

— Lecimy nad jeziora — mówi gąsior. — Zapraszamy was, Patalonki, jesteście takie śmieszne i takie małe, będziecie mogły sobie płynąć na żdźble słomy albo na liściu nenufara. Nie ma piękniejszych stron jak jeziora, nad które lecimy. Nie zabraknie wam tam niczego, zbudujecie sobie żaglówkę z siana albo wielki statek z drewna. Jeziora są ciche, naokoło rośnie las, czasem zwierzęta leśne przychodzą na brzeg napić się wody. Popatrzą chwilę, nastawią uszy, ale wszędzie jest cicho i wtedy zwierzęta idą z powrotem w las. W zaroślach mieszkają tam całe chóry żab, które dają wieczorne koncerty.

— Cudownie opowiadacie o tych jeziorach — mówią Patalonki — i chętnie tam z wami pojedziemy. Siadają oboje na gęsie szyje i całe stado unosi się w powietrze.

— Do zobaczenia — mówi za nimi lew.

Agnieszka zanurzyła się po łokcie w piórach. Patrzy w dół. Swoje skrzydła ma zwinięte. Gustaw siedzi wczepiony w szyję gąsiora i coś Agnieszce pokazuje na dole.

— A — mówi Agnieszka — mijamy leśniczówkę, ciekawe, jak tam nasz Ropuch. Jaka ona mała, jak wysoko te gęsi potrafią latać!

— Co mówicie? — pyta gąsior. — Może wam niewygodnie?

— Lecimy nad naszą leśniczówką — mówi Agnieszka — tam mieszka nasz znajomy Ropuch, moglibyśmy pomachać mu ręką.

— Będzie mu przyjemnie, kiedy zobaczy, jak machacie doń ręką — odpowiada gąsior.

Oboje Patalonki wołają:

— Hej, hej, Ropuchu! Hej, hej!

Z dołu daje się słyszeć grube: — Hej, hej!

— To Ropuch! — krzyczy Gustaw. — On nas widzi.

— Poczciwy, dobry Ropuch! — mówi Agnieszka — widzi nas tak wysoko, jest na pewno ożywiony, zaraz pójdzie wszystko opowiedzieć swoim sąsiadom, żmijom. Dobrze, żeśmy do niego zawołali.

Mijają leśniczówkę.

Jeszcze długo rozmawiają o Ropuchu, o tym, co mógł akurat robić, gdy zjawili się oni na gęsich szyjach. Gęsi były zadowolone z takich rozmownych pasażerów, droga bowiem nad jeziora jest dość długa i, jak mówił to sam gąsior, nieraz im się nudzi.

Mijają złote skały i wypatrują, kto tam mieszka. Nie widać jednak nikogo, być może wewnątrz tych skał ktoś mieszka.

— Przyglądacie się tym złotym skałom — mówi gąsior — widać bardzo wam się podobają.

— Chcielibyśmy stanąć na tych skałach — mówi Agnieszka — nigdy nie staliśmy w takim złocie.

— He, he — śmieje się gąsior — to jest krajna bez wyjścia, wszędzie widzisz swoje odbicie i nie wiesz, które jest naprawdę tobą, i kiedy się tak zastanawiasz, zupełnie nie wiesz już, czy istniejesz, czy giniesz.

— A takie piękne góry — mówi Gustaw. — Że też w takim cudnym świecie musi być zaw sze jakaś pułapka!

ŚPIĄ TE JEZIORA

Mijają złote skały.

— Są jeziora! — krzyczą gęsi lecące na przedzie.

Robi się taki ruch i hałas, gęsi się tak rozga dały, że nikt nie wie, co kto mówi. Patalonki klęczą na gęsich szyjach i patrzą w dół.

— Jeziora — szepcze Gustaw. — Ile tam kolorów! Śpią te jeziora. Jakieś mgły nad nimi. Są całe rozmarzone.

— Więc to są te ich jeziora — szepcze Agnieszka. — Tam mieszka wielka cisza, jeziora ją hoduują w swoich głębiach. Ona mieszka w trzcinach, wśród drzew, na brzegu, ona ma w sobie nieśmiertelny urok.

Oczy obojga Patalonków robią się okrągłe, usta mają otwarte.

— A więc to są ich jeziora! — szepczą.

— Nie sądzisz, że one są piękniejsze niż złote skały? — mówi Gustaw do Agnieszki.

— Myślę, że są piękniejsze — odpowiada Agnieszka cicho, z przejęciem.

Lądują. Słyszać plusk wody — to gęsie łapy uderzają w gładką, miękką powierzchnię. Patalonki zamykają oczy. Zaraz potem ryją w tej wodzie rowy i naokoło rozbryzgują się fontanny wody. Cisza jezior zostaje zmacona, ale jedynie na chwilę, tak długo, jak trwa lądowanie. Całe stado dzikich gęsi siedzi na wodzie i rozgląda się. Rozglądają się też Patalonki.

— Tu spędzimy lato — mówi gąsior.

— A długie będzie to wasze lato? — pyta Agnieszka.

— Poznamy jego koniec po tym, jak słońce będzie robiło się chłodne.

— Dziwne — zastanawia się Gustaw — nigdy nie wiedziałem, że słońce może robić się zimne.

— To się tylko tak mówi — wyjaśnia gąsior — po prostu nie będzie tak grzało.

W sitowiu szumi wiatr. Gęsi mijają je, wypływają na sam środek. Nie ma tu cieni, jest jedynie srebrna pajęczyna utkana ze słońca i z wody, i owa wielka cisza. Wszyscy są zasłuchani w tę ciszę. Siedzą nieruchomo. Agnieszka z Gustawem są urzeczeni.

— Co będziecie tu robić? — pyta Gustaw.

Gąsiory chrząkają, gęsi przyglądają się dyskretnie swemu odbiciu w wodzie. Wreszcie jeden z nich odpowiada:

— Będziemy tu mieli swoje gniazda i wylęgna się nam młode gąsiątka z jaj.

— A to śmieszne! — woła Agnieszka. — Jak to z jaj?

— Dlaczego śmieszne? — dziwią się gęsi. — To jest naturalne.

— Nie śmiej się z nich — mówi Gustaw. — Zobacz, jakie one są poważne.

— Ja po prostu tego nie rozumiem — mówi Agnieszka.

— To proste — odpowiadają gęsi. — Robi się gniazdo, znosi się jaja i potem się na nich siedzi.

— Hi, hi — śmieje się Agnieszka.

— Co za hi, hi? — mówią oburzone gąsiory — to nie jest takie łatwe.

— O, nie — podnoszą wysoko swoje głowy gęsi — to jest wielka sztuka, na pewno nie znieślibyście takich jaj.

— Może nieco mniejsze — mówi Agnieszka — trzeba by spróbować.

— He, he, he — śmieją się gęsi, nasze jaja są duże tak jak nasze głowy, to jest wielka sztuka.

Dumne gęsi pływają po wodzie i raz po raz spoglądają na Patalonki, widać mają je za nic, skoro nie potrafią znosić takich jaj, jak one.

— A z czego robicie te gniazda? — interesuje się Gustaw.

— Z trawy, liści, drobnych gałęzi — mówi gąsiór. — Muszą być szczelne i suche — dodaje.

Rozmawiają jeszcze długo o jajkach, gniazdach, a wokoło nich drzemią ciche jeziora, które w swym pejzażu lubią mieć dzikie gęsi.

— Słyszycie, co szepczą jeziora? — mówi jedna z gęsi.

Patalonki nasłuchują. Rzeczywiście, jeziora szepczą. One ze sobą rozmawiają.

— Znamy tajemnicę Czarodzieja — szepczą. — Znamy tajemnicę krainy za wielką wodą.

Patalonki patrzą na siebie osłupiałe.

— Słyszysz? — mówi Agnieszka do Gustawa.

— Słyszę — odpowiada Gustaw. — Niepojęte — dodaje — one znają wszystkie tajemnice ziemi, a w dodatku są bardzo dobre, dlatego rozmawiają teraz o tajemnicy krainy z wielką wodą. One wiedzą, że je usłyszymy.

— Dobrze jeziora — cieszy się Agnieszka i całuje powierzchnię wody.

W tym miejscu powstało zmarszczenie. Gęsi milczą. Nie chcą przeszkadzać rozmowie jezior i z zadowoleniem patrzą na entuzjazm Patalonków.

— Powiedźcie nam, jaka jest tajemnica krainy z wielką wodą — mówi Gustaw.

Jeziora szumią i szumią. Wreszcie słysząc ściszony ich głos:

— Te Patalonki są szlachetne. One chcą uratować swoich ziomków, którzy leżą tam na brzegu jako kamienie i pływają w głębi morza jako ryby.

Agnieszka z Gustawem śmieją się do siebie.

— Słyszysz, co mówią — szepcze Agnieszka.

— Słyszę — odpowiada Gustaw.

— Trzeba w złotych skałach schwytać czarnego ptaka — mówią jeziora — i go zabić,

a jego krwią skropić krainę z wielką wodą i wtedy zostanie zdjęte zaklęcie, a moc Czarodzieja w krainie z wielką wodą zginie. Ptak jest ślepy i łatwo go schwytać — dodają jeziora. Ich głos niesie woda z jednego brzegu na drugi.

Patalonki patrzą na gęsi, te znów patrzą na Patalonki.

— Nie wydaje wam się, że w głębi jeziora coś się burzy? — mówi gąsior.

Wszyscy spoglądają z przerażeniem na wodę. Czyżby Czarodziej chciał się zemścić na jeziorach za to, że wyjawily tajemnicę jego złej siły, czyżby próbował wypić te piękne jeziora albo wypalić swoim strasznym ogniem ich ciszę? A może próbuje Patalonki zaatakować?

ZEMSTA CZARODZIEJA

Nikt nic nie mówi.

— Zdawało ci się — mówią gęsi do gąsiora.

W tym samym momencie strumień lawy wylatuje nad jezioro. Najbliżej znajdujące się gęsi lecą w powietrze razem z tym słupem ognistym, a inne razem z Patalonkami oszalałe ze strachu pędzą w las.

— Czarodziej — szepcze Agnieszka — teraz koniec z nami.

— On nie nas szuka — mówi Gustaw — on mści się na jeziorach.

— Biedne jeziora — płacze Agnieszka.

Patrzą z lasu na rozdarte żywym ogniem

wody, na wielki huk w samej głębi. Jest coraz straszniejsza kotłowanina, już bałwany docho-
dzą do trzcin. Nagle wielki huk wstrząsa la-
sem — to na samym szczycie ognistej fontanny
widać sylwetkę Czarodzieja.

— Przeklinam was za to, że wydałyście ta-
jemnicę krainy z wielką wodą. Przeklinam
was! — ryczy.

— Ty jesteś zły Czarodziej — jęczą jezio-
ra — jesteś zły Czarodziej!

Jęk jezior jest coraz bardziej przejmujący.

— Nie wytrzymam tego — mówi Agniesz-
ka — to przez nas, gdyby nie my, one nie mu-
siałyby tak cierpieć. Tyle było w nich ciepła,
dobroci, piękna, takie nam były życzliwe!

Agnieszka płacze, a Gustawowi broda się
trzęsie.

— Połowa naszych gęsi zginęła — mówi gą-
sior.

— Zły jest ten Czarodziej — zaciska zęby
Gustaw. — Wypowiadam mu wojnę na śmierć
i życie tak, jak lew.

Gęsi na pół zasmucone śmieją się:

— Ty, Gustawie, wypowiadasz wojnę Cza-
rodziejowi? Zobacz, co tam się dzieje.

Jezioro było pokryte czarną dymiącą lawą.
Dogorywało.

— To tak być nie może! — krzyczy Agniesz-
ka. — Zróbcie coś! — wrzeszczy do gęsi.

— Cóż możemy zrobić? — mówią gęsi. —
Możemy jedynie znosić jaja i budować gniaz-
da, a do tego trzeba spokojnych, cichych jezior,
a nie czegoś takiego, co widać przed nami; to

jest mętna, trująca ciecz, gdzieś tam pływają
pióra gęsi.

— Lecimy z powrotem — mówią gąsiory —
i możemy was zostawić w złotych skałach.

— Dobrze — mówią oba Patalonki.

Gramolą się na szyje dzikich gęsi i lecą w
drogę powrotną.

ZŁOTE SKAŁY NIE WIEDZĄ CZY TO ŁABĘDZIE, CZY PATALONKI

Ich lot jest wolniejszy i nie rozmawiają ze
sobą. Słyszą jedynie jednostajny szum skrzy-
deł. Agnieszka z Gustawem trzymają się
oburącz piór dzikich gęsi, a oczy ich są zapła-
kane.

— To są złote skały — mówią gąsiory. —
Zlećcie tu na własnych skrzydłach — zwraca-
ją się do Patalonków. Żegnają się. — Niech
wam się uda schwytać tego ptaka — mówią
gąsiory, a zwracając się do Gustawa ze śmie-
chem dodają: — A ty się nie daj Czarodziejo-
wi. — Śmieją się całym gardłem.

— Jesteście dobre gęsi — mówią Patalonki.
Szkoda, że musicie wracać i szkoda, że tamte
Patalonki zginęły; ale będziemy o was pamię-
tać, na drogę weźcie nasze dobre słowo.

I tak dzikie gęsi z dobrym słowem Patalon-
ków lecą dalej z szumem skrzydeł, a Gustaw
z Agnieszką rozwijają swoje skrzydła i powoli
opuszczają się w stronę złotych skał.

— Wiesz, jak mi serce bije — mówi Agniesz-
ka.

— Przypomnij sobie, co Czarodziej zrobił z jeziorami i bądź odważna. Nie bój się.

Agnieszka przyciąga bliżej ramion swoje skrzydła, zaciska zęby i leci w ślad za Gustawem. Zbliżają się do złotych skał.

— Nie wydaje ci się, Gustawie, że zbliżamy się do krainy Patalonków? — mówi Agnieszka.

— To są nasze zwielokrotnione odbicia! — krzyczy do niej Gustaw.

— Pamiętasz, co mówiły dzikie gęsi? Tam się umiera, ponieważ nie wiesz, czy jesteś sobą, czy też odbiciem.

— A jak sobie z tym poradzimy? — mówi Agnieszka.

— Nie wiem — odpowiada Gustaw — to będzie bardzo trudne.

— Mam pomysł — szepcze Agnieszka — będziemy udawali łabędzie, wtedy odbicia nie będą wiedziały, czy mają być Patalonkami, czy łabędziami.

— Ale jesteśmy trochę za mali jak na łabędzie — mówi Gustaw.

— To nie szkodzi — odpowiada Agnieszka — będziemy tylko udawać, nie będziemy prawdziwymi łabędziami.

Oboje wyciągają przed siebie szyję i rozkładają skrzydła jak najszerzej, tak aby z daleka mogły wydawać się okazałe.

— Łabędzie, kiedy lecą, szumią skrzydłami, będziemy też musieli szumieć.

Oboje zaczynają teraz szumieć. Rzeczywiście odbicia zrobiły się jakieś niepewne i znikły.

— Hura! — krzyczy Gustaw, zmyliliśmy

złote skały, one nie wiedzą, czy jesteśmy łabędziami, czy Patalonkami.

— Hura! — krzyczy Agnieszka i oboje cieszą się, śmieją, klaszczą w ręce.

Są już zupełnie blisko skał. Są już tak blisko, że skały ich oślepiają.

— Co teraz? — pyta Agnieszka odwracając oczy od skał.

— Zasłoń oczy czapką, ściągnij ją aż na brodę — mówi Gustaw.

Lecą na oślep.

— Chyba tu zginiemy — mówi przestraszona Agnieszka.

— Nie narzekaj — pociesza ją Gustaw — myśl, że nie zginiemy, że wszystko będzie dobrze.

— Sądzisz, że to takie proste — odpowiada Agnieszka — kiedy ja się bardzo boję.

— A kto by się tu nie bał — mówi Gustaw cały blady na twarzy.

W pewnym momencie dotykają stopami złotych skał.

— Tu nie ma żadnego oparcia — informuje Agnieszka.

Zjeżdżają na plecach z jednej skały na drugą, a wszędzie jest bardzo gładko. Wreszcie zatrzymują się i leżą nieporuszeni.

— Nie ruszajmy się — radzi Gustaw — bo nigdy się to jeżdżenie nie skończy.

— Ale coś musimy zrobić — mówi Agnieszka — żeby się czymś zaczepić o te skały. Jesteśmy zupełnie bezradni — dodaje. — Jak sądzisz, czy te złote skały, to sprawa Czarodzieja?

— Może tu rządzi jego brat — mówi Gustaw.
— To jest możliwe — odpowiada — jego brat jest na pewno subtelniejszy, tamten jest taki straszny, czuć go siarką i dymem.

KTOŚ TU ŚPI

Kiedy tak rozmawiają, z daleka ktoś idzie, i to prosto w ich kierunku.

— To leśniczy — mówi Agnieszka.

— Rzeczywiście — odpowiada Gustaw zdumiony. — Leśniczy w złotych skałach to niesłychane, może to Czarodziej przybrał jego postać?

— Czy jesteś prawdziwym leśniczym, czy Czarodziejem? — pytają go Patalonki.

— Jestem prawdziwym leśniczym — odpowiada śmiejąc się. — Idę na polowanie, nie widzisz, że na ramieniu mam strzelbę?

— Na co możesz polować w złotych skałach? — dziwią się Patalonki. — Przecież one są martwe.

Leśniczy porusza wąsami i mruga jednym okiem, potem drugim.

— W jakich złotych skałach? — dziwi się. — Jestem w swoim lesie, a nie w żadnych złotych skałach.

— Ktoś tu śni — mówi Gustaw — albo my, albo pan,

— Nie mogę śnić, skoro tu jestem — mówi leśniczy.

— My też tu jesteśmy — odpowiadają Patalonki.

— W takim razie może żyjemy w innym czasie — mówi leśniczy.

Patalonki tego nie rozumieją i patrzą z głupimi minami to na leśniczego, to na siebie. Leśniczy mija ich uchylając swojego zielonego kapelusza z piórkiem. Oba Patalonki patrzą to na strzelbę, to na piórko w kapeluszu leśniczego.

— Dziwne — mówią do siebie. — Bardzo dziwne.

— Dzieją się tu rzeczy niesamowite — mówi Gustaw. — Odkąd wyruszyliśmy nad wielką wodę, dzieje się z nami coś niedobrego.

— Spróbujmy się zastanowić, Gustawie, może coś wymyślimy.

— Nie możemy już być w gorszej sytuacji — mówi Gustaw. — Leżymy na plecach, nie możemy się podnieść, naokoło nas gładkie ściany złotych skał i w dodatku ten dziwny leśniczy, który jest niby w swoim lesie. Czy może być gorsza sytuacja?

— Teraz ty narzekasz — denerwuje się Agnieszka. — Spróbujmy coś wymyślić, na pewno nam się uda.

CZARY-MARY, HOKUS-POKUS

Gustaw patrzy na Agnieszkę i po pewnym czasie cień uśmiechu rozjaśnia jego twarz.

— Jesteś dzielna — mówi — na pewno da-

my sobie radę. Popatrz, ile tu jest promieni wśród tych skał, leżą na zboczach; gdybyśmy je pozbierali, połamali i wbili w te złote skały, mielibyśmy choć takie oparcie.

— Dobrze — odpowiada Agnieszka — zabierzmy się do pracy.

Oboje wyrzucają ręce za siebie i zbierają te promienie, i za każdym poruszeniem zjeżdżają z jakiejś skały. Kiedy już mają całe naręcze promieni, zaczynają je łamać. Słyszą wielki trzask i głuchy jęk: auuu.

— Słyszysz — mówi Agnieszka — ktoś jęczy, zadajemy komuś ból.

— To Czarodziej — odpowiada Gustaw — nic się nie martw.

— To nie może być Czarodziej — mówi Agnieszka — on nie krzyczałby z bólu, on by się z tego cieszył. Musi to być ktoś zaklęty.

Łamią nowy promień, tym razem słyszą głos:

— Zlitujcie się nade mną, będę cała połamana!

— Wyrzućmy te promienie — mówi Agnieszka — ktoś przez nas cierpi.

— Powiedz nam, o co się tu zaczepić?! — krzyczy Gustaw. — Nie będziemy cię dalej łamać, ale odpowiedz na to pytanie.

— Musicie wypowiedzieć zaklęcie, a potem będziecie sami wiedzieli, co robić. Zaklęcie brzmi: „czary-mary, hokus-pokus”.

— Jakie łatwe! — cieszy się Agnieszka.

I oboje natychmiast wymawiają: czary-mary hokus-pokus.

Patrzą, a wokół nich są drzewa, a pod dębem stoi leśniczy i dym po strzale wychodzi z luf jego strzelby. Niedaleko leży czarny ptak zakrwawiony na szyi. Jest brzydki i ślepy.

— Tego ptaka szukacie — mówi leśniczy — ustrzeliłem go w locie, kierował się w stronę jezior.

— Dziękujemy panu — mówią Patalonki — potrzebna nam jest jego krew, musimy skropić nią brzeg wielkiej wody.

Leśniczy znów uchyła kapelusza, a jego twarz jest bardzo pogodna.

Gustaw z Agnieszką biorą ptaka za nogi i łeb i wznoszą się nad lasem. Leśniczy patrzy za nimi.

PODOBAŁ MI SIĘ JEGO KAPELUSZ

Mijają wiele lasów, wiele pól i wiele rzek. Wreszcie widzą wielką wodę. Słyszą srebrne dzwonki much-wrózek, a potem stają na piaszczystym brzegu. Gustaw kładzie się na piasek i chowa głowę w ramionach. Jego oddech jest szybki. Obok niego siedzi Agnieszka zupełnie szara na twarzy. A zaledwie jeden krok od nich leży czarny ptak z zaczerwienioną szyją. Ptak nie ma oczu.

— Poleżymy jeszcze — mówi Gustaw — już dalej nie mogę.

— Dobrze — mówi Agnieszka — o nic się nie martw, jesteśmy nad wielką wodą, obok nas leży martwy czarny ptak. Jest dobrze, nie

myśl o niczym. Patrz na wodę, ona cię ukoi, mnie jest już lepiej; myślałam, że padnę po drodze, ale teraz wszystko minęło, jest dobrze, cicho, najlepiej. I nic się nie martw, Gustawie, jestem tu z tobą, zmęczona, ale szczęśliwa. O nic się nie martw.

Gustaw patrzy na nią, potem na morze, z twarzy jego znika bladość, a razem z nią wielkie zmęczenie. Są na miejscu — to najważniejsze. Daleko za nimi został leśniczy, srebrne muchy i wszystkie te lasy, rzeki i pola, wszystko to zostało daleko za nimi. Patrzą przed siebie, a ptak leży niedaleko skierowany dziobem w stronę srebrnych much. Jest ślepy i czarny. Fale zwilżają kamienie, które potem długo schną w słońcu. Niektóre fale rozdzielają się na drobne turkusowe perły, które chwilę leżą wśród kamieni, potem znikają. Cały brzeg robi się wtedy zielonkawy. Patalonki obserwują tę grę kolorów, a na ich twarzach pojawia się to uczucie zachwytu, to uśmiech. W oczach obojga odbija się ten cały zielonkawy brzeg. Agnieszka podchodzi do tych rozbitych fal i kładzie na brzegu swoje ręce. Po chwili ręce też robią się zielonkawe. Agnieszka dotyka tymi rękami twarzy.

— Chłodne — stwierdza.

Gustaw patrzy na nią.

— Wielka woda jest chłodna — mówi. — To z powodu wiatrów — dodaje.

Agnieszka zdejmuje drewniane pantofle i staje na kamieniach. Po chwili fala zakrywa jej stopy.





— Chłodno — mówi znów.

— To z powodu wiatrów — odpowiada drugi raz Gustaw. — One pędzą z wielką szybkością i nie potrafią się opamiętać nawet na brzegu.

— Tak — szepcze Agnieszka — a wydawałoby się, że brzeg jest dla wszystkich uspokojeniem.

— Ale nie dla wiatrów — dodaje zamyślony Gustaw.

Gustaw również zdejmuje pantofle i teraz woda zakrywa stopy im obojgu. Patrzą na swoje odbicia w wodzie. Pokazują sobie palcami w tej wodzie.

— Jacy jesteśmy mali w porównaniu z leśniczym — mówi Gustaw. — Oboje zmieścilibyśmy się w jednej kropli.

— Musielibyśmy się skrócić — mówi Agnieszka. — Nigdy byśmy nie zabili tego ptaka sami, dobrze się stało, że on akurat przechodził przez złote skały. Podobał mi się jego kapelusz — dodaje Agnieszka — a to piórko jak błyszczało, widziałeś?

— Widziałem — odpowiada Gustaw. — Wiesz, zastanawiam się, jak byłoby w tej kropli, gdybyśmy tam weszli?

— Zmienilibyśmy kolor — mówi Agnieszka — wiatr mógłby nas nieść razem z jakimś bałwanem.

Śmieją się.

— Turlalibyśmy się w tę i w tamtą stronę po wielkiej wodzie, bylibyśmy okrągli. — Znów się śmieją.

— Ale wiesz, Gustawie, przecież te krople w

wielkiej wodzie wcale nie są okrągłe, wygląda tak, jakby ich w ogóle nie było. Może byśmy się też rozplynęli i wcale by nas nie było?

— Hm — zastanawia się Gustaw — kto to wie, jak by było? W każdym razie nie chciałbym się rozplynąć w wielkiej wodzie.

Kiedy tak oboje stoją na brzegu wielkiej wody, słyszą najpierw szum, a zaraz potem głos:

— Czarny ptak nie jest martwy, czarny ptak widzi, bądźcie z nim bardzo ostrożni. On próbuje w tej chwili odlecieć.

Oboje naraz oglądają się, a czarny ptak ma już rozpięte skrzydła i powoli unosi się nad ziemią.

Rzucają się czym prędzej po swoje skrzydła i puszczają się w pościg za czarnym ptakiem. On jest wielokrotnie większy od nich i znacznie silniejszy. Krąży chwilę nad wielką wodą, a potem puszczają się w kierunku srebrnych much. Idą zakosami. Raz spada w dół czarny ptak, a zaraz za nim dwa Patalonki. Już go prawie trzymają, gdy wznosi się szybciej od strzały w górę. Całe to latanie jest prawdziwym szaleństwem. Ścigają się do utraty tchu. Patalonki już nic nie widzą, a ptak pruje przestrzeń z coraz większą zaciętością.

CZKAŁEM NA WAS — MÓWI LEŚNICZY

Skończyłoby się to wszystko źle dla Patalonków, gdyby nagle srebrne muchy nie zaczęły

dźwięczeń w rozmaitych tonach. Ptak stracił na chwilę orientację i w tym momencie dopadają go Patalonki, siadają mu na oczy i kierują jego skrzydłami w stronę leśniczówki. Tam leśniczy stoi z wycelowaną strzelbą i gdy tylko nadlatują, on strzela do ptaka, który tym razem zwisa zupełnie bezwładnie na ramionach Patalonków. One pozdrawiają leśniczego, ślą w jego kierunku uśmiech i zawracają.

— Czekalem na was — mówi leśniczy — ten ptak nigdy nie ginie za pierwszym razem.

— A czy on w ogóle ginie? — krzyczy w dół Agnieszka.

— Wątpię — odpowiada leśniczy — ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Na razie jest martwy.

Patalonki znów dziękują leśniczemu i machają do niego rękami.

BĘDĘ PATRZEĆ NA WASZE RĘCE — MÓWI WIELKA WODA

— Dobry jest ten leśniczy — mówi Agnieszka. — Nigdy nie złapalibyśmy czarnego ptaka bez jego pomocy.

— Zrobił wszystko, co mógł — dodaje Gustaw — nie zląkł się Czarodzieja, bardzo go za to lubię.

Kładą na brzegu czarnego ptaka i obchodzą go oglądając.

— On nie ma oczu — mówi Agnieszka.

— On znów jest ślepy — stwierdza Gustaw. — Nie wiemy jednak, jak długo to będzie

trwało. Trzeba skropić jego krwią te kamienie i ryby nurkujące w wodzie.

Wtedy znów dał się słyszeć szum wielkiej wody i głos:

— Nie róbcie tego, Patalonki, to jest zła krew, cała moja woda się od tego wzburzy.

— Ale w tobie są zaklęte nasze Patalonki! — krzyczy Gustaw — a jedynie ta zła krew może zdjąć z nich zaklęcie.

— Wyrzucę na brzeg wasze ryby — słysząc znów głęboki głos wielkiej wody — tylko idźcie sobie z tą krwią.

— Co nam po rybach, w dodatku szybko zdechną, nie chcemy ryb, chcemy uwolnić nasze Patalonki od zaklęcia.

Woda znów szumi, naradza się w głębi, dyszy, a Patalonki stoją na brzegu i czekają, co ona tym razem powie.

— Wyrzucimy wam ryby na brzeg i wy w tej samej chwili pokropicie je krwią czarnego ptaka — mówi wielka woda. — Musicie się jednak spieszyć, bo to jest bardzo krótki moment pomiędzy wyrzuceniem ryby a jej śmiercią. Będę patrzeć na wasze ręce — mówi swym ściszoną głosem wielka woda.

— Dobrze — odpowiadają Patalonki.

Maczają we krwi czarnego ptaka ręce i z bijącymi sercami przyglądają się wielkiej wodzie.

Brzeg burzy się. Jest coraz głośniejsze. Coraz więcej szumu, i nagle całe zwały ryb i drobnych kamieni zostają wyrzucone z wody. Agnieszka z Gustawem skrapiają te ryby i ka-

mienie krwią czarnego ptaka akurat na czas. Całe tłumy Patalonków przecierają oczy, przeciągają się.

— Ale się spało! — mówią ziewając.

Agnieszka z Gustawem śmieją się do rozpuku:

— Przyleciałyście nad wielką wodę się wyspać, zaraz wam opowiemy, co to był za sen. Zaraz wam opowiemy — śmieją się znów i trzymają się za brzuchy.

— Mnie się śniło, że byłem rybą — mówi jeden z Patalonków — i akurat leżałem sobie cicho na dnie, gdy jakaś siła wyrzuciła mnie i obudziłem się.

— A mnie się śniło, że byłem kamieniem — mówi drugi — słońce na mnie świeciło i myślałem, dlaczego jestem taki twardy i okrągły: przecieram oczy i widzę was.

Jaka to była radość wśród Patalonków, wprost nieopisana, ile rozmów, jaki gwar, ile śmiechów! Nie było końca opowieściom o tych dziwnych snach, a Agnieszka z Gustawem opowiadali o lwie i Czarodzieju, o jeziorach i o złotych skałach.

— Mielicie najpiękniejszy sen — mówią Patalonki do Agnieszki i Gustawa.

Nikt nie chce wierzyć, że to nie był sen.

— Gdzie są nasze skrzydła? — pytają Patalonki.

Idą nieco dalej od brzegu i okazuje się, że wszystkie skrzydła wypłóviały.

— One musiały tu bardzo długo leżeć — mówią. — Jak to możliwe, abyśmy tak długo

spały? — patrzą i dziwią się, i nie mogą tego w żaden sposób pojąć.

Agnieszka z Gustawem mówią, że teraz pokażą coś, co ich bardzo zadziwi, i oboje odwracają się w stronę, gdzie leżał czarny ptak. Ale jego już nie ma.

— Co chcecie nam pokazać? — pytają Patalonki Agnieszkę i Gustawa.

— Czarnego ptaka — odpowiadają oni oboje. — Był tu, a teraz go nie ma.

— Wam się śniło — mówią Patalonki. — Nie przejmujcie się tym, cieszcie się razem z nami, że też się obudziliście.

POŻEGLUJEMY, HEN, DALEKO

Agnieszka z Gustawem patrzą na siebie z tak głupimi minami, że wszystkim robi się wesoło. Ściskają się, całują, życzą sobie sto lat. Patalonki są w ogóle bardzo pogodne i wesołe.

— Bardzo lubimy wielką wodę — mówią. — Pożeglujemy, hen, daleko — proponują młode.

— Pożeglujemy! — wołają inne.

— Zastanówcie się — słysząc wśród szumu głos wielkiej wody — z tego brzegu nie ma już powrotu.

— Ktoś tu coś mówi?

— To wielka woda — wyjaśnia Gustaw.

— Jak to wielka woda? — dziwią się Patalonki. — Jesteś chyba chory, Gustawie.

— Nie!!

— Nie płyńcie! — błaga ich Agnieszka. — Gustaw mówi prawdę.

Ale nikt ich nie słucha, każde z Patalonków bierze czy to źdźbło słomy, czy suchy patyk i puszcza się na wielką wodę. Niektóre płyną wprost na wiechciu trawy.

Zaroilo się od szarych, wypłowiałych skrzydeł Patalonków na wielkiej wodzie, a na końcu Agnieszka z Gustawem również na jednej suchej gałęzi.

— Nie boimy się fal — wołają Patalonki — w razie wiatru mamy skrzydła. Nie boimy się fal!

— Lekkomysłne są Patalonki — mówi Agnieszka do Gustawa.

— To dlatego, że one wierzą, iż to wszystko było snem — odpowiada Gustaw. — Teraz płyniemy na swoje zatracenie, słyszałaś, co mówiła wielka woda?

— Słyszałam — odpowiada Agnieszka.

Płyną coraz bardziej zmartwieni, już brzegu nie widać, a ich suche łodzie często się wywracają, zwłaszcza gdy nadchodzi wielka fala.

Naraz, kiedy już nic do siebie nie mówią, zrywa się gwałtowny wiatr, woda jest coraz bardziej wzburzona, przerażone Patalonki opuszczają swe na pół zatopione łodzie i cała ich chmara leci, i wtedy straszny podmuch wiatru rzuca je wszystkie w stronę brzegu. Trwa to mgnienie oka, wszystko dzieje się tak błyskawicznie, że Patalonki nie zdążyły otworzyć ust ze zdumienia. Leżą na piasku potłuczone i patrzą wokoło.

— Co to było? — mówią zupełnie ogłupiałe ze strachu. — Co to było?

— Jakaś straszna trąba powietrzna rzuciła nami o brzeg — mówią inne.

— Bądźcie szczęśliwe, Patalonki — mówi wielka woda.

— Jesteś dobra — cieszą się Agnieszka z Gustawem. — Jesteś najlepsza wielka woda, masz taki miękki i kochany głos.

Biegną oboje, też poturbowani, nad wodę i całują ją.

— Jeszcze — mówi wielka woda — lubię dotyk waszych ust, jest mi wtedy tak dobrze.

Wielka woda mruczy z zadowolenia. Agnieszka z Gustawem są szczęśliwi. Piszczą z uciechy, obejmują wielką wodę swoimi ramionami.

— Jak dobrze — szepczą. — Dziękujemy tobie, wielka wodo.

Patalonki podnoszą się stękając i przyglądając się Agnieszce i Gustawowi. Niektóre z nich reperują skrzydła, inne siedzą nieruchomo wpatrzone w piasek albo w plecy sąsiadów. Tylko nieliczne Patalonki rozmawiają ze sobą szeptem i często pokazują palcami w stronę wielkiej wody.

PATALONKI WYDAJĄ WOJNĘ CZARODZIEJOWI

— Wielka woda jest dobra — mówi Agnieszka — to zły Czarodziej nasyla na nią wiatry i marszczy jej oblicze. To zły Czarodziej więzi złote muszki i każe im strzec wejścia do tej okolicy. To z nim nie może sobie dać rady szlachetny lew. To on jest wszystkiemu winien.

— To on! — krzyczą Patalonki.

— Wypowiadamy mu wojnę! — krzyczą inne.

Gustaw śmieje się pełnymi ustami słuchając tej wrzawy.

— Powariowały — mówi. — Patalonki przeciwko Czarodziejowi! — śmieje się. — Powariowały. Na pewno patrzy na was i dziwi się, czym jesteście takie podniecone. On wszystko wie. Ma oczy nawet w kamieniach. Słyszy, co wykrzykujecie, na pewno dobrze się bawi.

— Jesteśmy za małe — mówi Gustaw.

Patalonki nie słuchają go. Tańczą na brzegu wielkiej wody i krzyczą: „Wydamy walkę złemu Czarodziejowi! Uwolnimy wielką wodę i złote muchy od strasznych jego zaklęć. My, Patalonki. Jest nas wiele, jesteśmy silniejsze od niego”. Oczy im błyszczą, skrzydła trzepoczą, aż niektóre Patalonki wzlatują w powietrze od tego entuzjazmu. Gustaw i kilka innych rozsądnych Patalonków patrzą na to widowisko z uśmiechem, ale i z przerażeniem.

— One nie wiedzą, co wykrzykują — mówi Gustaw do drugiego rozsądnego Patalonka.

— Teraz już nic ich nie uratuje — odpowiada tamten. — Koniec z Patalonkami — dodaje — niech się tylko o tym dowie Czarodziej, on ześle na nas burzę ognistą, on pokraje ziemię na kawałki, abyśmy tam wpadli na zawsze, on wpuści do nas słup ognia, on zaleje nas tą dobrą wielką wodą. On jest potężny.

— Tak — mówi w zamyśleniu Gustaw — on jest potężny.

Tymczasem Agnieszka tańczy razem z innymi i krzyczy aż do ochrypnięcia.

— Czyś ty zwariowała? — mówi do niej Gustaw. — Nie widziałeś walki lwa ze złym Czarodziejem, nie byłeś w samym środku złotych skał? Co robisz, opamiętaj się i przemów Patalonkom do rozumu, bo one nie znają mocy Czarodzieja!

Agnieszka macha do niego obiema rękami i śmiejąc się krzyczy:

— Nie martw się, Gustawie, moc złego Czarodzieja też ma swoje granice!

Gustaw patrzy na nią zdumiony i mruczy do siebie:

— I ty to mówisz po tym, co na własne oczy widziałeś!

— Zbudujemy twierdzę — wrzeszczą Patalonki — i gdy Czarodziej będzie się do nas zbliżał pochwycimy go w sieci i zamkniemy do lochu!

Gustaw i inne rozsądne Patalonki śmieją się do rozpuku.

— On się tam nie zmieści — mówią. — W lochu, który może być dobry dla Patalonka, nigdy nie zmieści się Czarodziej.

Słowa te były jednak zagłuszone przez wrzawę innych Patalonków.

— Zobaczcie — mówi nagle jeden z rozkrzyczanych Patalonków — woda się wygładziła, ona jest zadowolona z tego, że wydaliśmy walkę na śmierć i życie złemu Czarodziejowi.

Wszyscy patrzą w tamtą stronę. Rzeczywiście, woda jest zupełnie gładka i bardzo łagodnie dotyka brzegu, na którym tańczą Patalonki.

— Ona nam pomoże — mówią niemal wszystkie.

Kilka Patalonków, tych najbardziej rozsądnych, stoi i nie wie, co o tym sądzić.

Kiedy tak wszyscy tańczą i cieszą się ze swego przyszłego zwycięstwa, z daleka widać jakąś wielką postać, całą czarną z błyskającymi zębami. Końce jej palców płoną żywym ogniem. Patalonki milkną.

— Sam Czarodziej — szepczą całe blade ze strachu.

Nikt się nie rusza. Postać zbliża się i zasłania już swoimi plecami pół nieba. Nagle słychać grzmot głosu:

— Zgładzę was, Patalonki, podnosiłyście przeciwko mnie swoje małe ręce, zetrę was na proch razem z waszym krzykiem. Nie pozwolę, aby w moim świecie leżało się takie brzydkie robactwo.

Skoro Patalonki to usłyszały, zęby im się same zacisnęły, a pięściami jęły walić w ziemię. Czarodziej zbliża się ze swym straszliwym śmiechem, a Patalonki płaczą w bezsilnej wściekłości.

— Jak on śmie nazywać nas robactwem! — mówią przez zaciśnięte zęby.

— Jesteście nie tylko robactwem, ale najgorszym plugastwem, jakie kiedykolwiek czołgało się po ziemi, nie jesteście warte mojego spojrzenia; gdy już was zniszczę, to będę mył

dłonie w strumieniu, aby z nich zszedł ten śmierdzący zapach, który wydzielacie.

Tego było Patalonkom za wiele. Podrywają się na swoich skrzydłach i z pełnymi garściami piasku rzucają się na Czarodzieja. Nie zdążył on otworzyć ust ze zdumienia, kiedy miał pełne oczy piasku. Ryknął tak straszliwie, że niektórym Patalonkom odpadły skrzydła i trzeba je było w locie łapać. I byłoby źle z Patalonkami, gdyby nie złote muchy i lew. Czarodziej parł naprzód i usiłował wyłapać je rękami i rozgnieść, a że nic nie widział, więc Patalonkom udawało się zawsze skoczyć w bok przed tymi strasznymi pazurami. Stopy Czarodzieja są już blisko wielkiej wody i Patalonki nie mają miejsca do latania, gdy z boku rzuca się lew, a złote muszki zakrywają sobą wielką wodę, że Czarodziej w ogóle nie wie, gdzie się znajduje. Rozpoczyna się straszliwa walka z lwem, słysząc charkot, jęk i jakiś z głębi ziemi wydobywający się ryk.

Patalonki stoją na brzegu i oczom nie wierzą.

— Gdybyśmy to wcześniej wiedziały, nikt nie odważyłby się podnieść głosu przeciwko Czarodziejowi — mówią. Są coraz bardziej zdumione tym, co widzą. — Niesłychane — szepczą.

Z grzywy lwa spada na nich miękka poszarpana sierść, a od Czarodzieja czuć jakiś odurzający smród. Niektóre Patalonki mdleją od tego, niedaleko stąd kwitną kwiaty, które również zwiesiły zemdlone głowy. Nawet kamienie robią się sine w tej zatrutej atmosferze.

— Musimy coś zrobić — mówią Patalonki.

— Musimy — krzyczy Gustaw — bo walka z lwem będzie jak zwykle nie rozstrzygnięta!

— Ostrzelamy go — mówią jedne.

— On nawet nie poczuje naszych strzał! — odpowiadają inne.

— Zalejemy go wodą! — radzą pierwsze.

— Jesteśmy za małe — odpowiadają drugie.

Zastanawiają się Patalonki, jak by tu rozstrzygnąć walkę na korzyść lwa, i nic im do głowy nie przychodzi.

— Wiem! — krzyczy Gustaw — potrzebuje tylko łańcucha, a resztę zobaczycie.

— Jak to myślisz zrobić? — pytają go Patalonki, przekrzykują rżenie Czarodzieja i ryki lwa.

— Uwiążemy łańcuch do dna wielkiej wody — mówi Gustaw Patalonkom na ucho — i będziemy go ciągnąć, i mówić Czarodziejowi, że to jest potwór podziemia, jego brat; myślę, że oni nigdy się przedtem nie widzieli i Czarodziej bardzo się go boi, zresztą wtedy jeden z nich musi zginąć.

Patalonki są bardzo zadowolone z pomysłu Gustawa, przynoszą gruby łańcuch i mocują go do dna wielkiej wody, i kiedy Czarodziej jest odwrócony swoimi ślepiami w ich stronę, ciągną łańcuch i krzyczą:

— Na jego końcu jest potwór podziemia, twój brat, właśnie go wlecemy.

W tym miejscu, gdzie wychodzi łańcuch, woda burzy się i kipi.

— Dobra wielka woda — mówią Patalonki patrząc w tamtą stronę. — Jak dzielnie nam pomaga — dodają.

Tymczasem woda kipi coraz mocniej, białe bąbelki rozrywają się na jej powierzchni i podczas pękania zagłuszają wszystko.

— Może to naprawdę ten potwór — mówią Patalonki.

— To niemożliwe — odpowiadają inne — przecież to wszystko Gustaw wymyślił, chcieliśmy tylko nastraszyć Czarodzieja.

Ale ostatnie słowa zagłuszył ryk wyłazącego z wody potwora. Jest wyższy od tamtego walczącego z lwem, łbem swoim zakrywa cały horyzont, a zęby sięgają mu do ziemi. Przerażone Patalonki padają na brzegu i zamykają oczy. Słyszać ryk bestii i wielkie trzęsienie ziemi. Nikt nie śmie podnieść oczu.

Nagle cisza. Patalonki długo leżą z twarzami wtulonymi w piasek, aż wreszcie po kolei podnoszą głowy. Przed nimi pusty horyzont. Gdzieś daleko widać sylwetkę odchodzącego spokojnie lwa. Łańcuch leży obok nich, a połowa jest zanurzona w wielkiej wodzie. Ziemia jest strатовana. Poza tym żadnego śladu. Jest spokojnie. Fale dotykają piaszczystego brzegu. Nie ma też złotych much. Jest cicho.

— Co to? — pytają jeden drugiego. — Co to?

Nikt nie ma pojęcia, co się stało. Nawet śladu nie ma po Czarodzieju i gdyby nie strатовana ziemia, sądziliby z pewnością, że im się to wszystko śniło.

— Hura! — wrzasnęły Patalonki, o oczy ich są na pół rozradowane, a na pół zdumione. — Zwyciężyliśmy! — wrzeszczą.

Daleko rozlega się tryumfalny okrzyk Patalonków, dochodzi nawet aż do Ropucha, który się akurat zdrzemnął. Przebudzony nasłuchuje, skacze parę metrów w stronę okienka piwnicy.

— Nie — mruczy — nie zdawało mi się, to Patalonki wiwatują na jakąś cześć. Widocznie odniosły wielkie zwycięstwo, może nawet tak wielkie, jak my podczas obrony leśniczówki przed rozbójnikami.

Ropuch ma wesołą minę, a brzuch mu się trzęsie, cieszy się razem z Patalonkami.

— W drodze powrotnej na pewno się u mnie zatrzymają — mówi — i wtedy wszystkiego się dowiem. Ciekawe, kogo pokonały? Może samego Czarodzieja? Oj, gdyby tak było! — I Ropuch wzdycha, i robi bardzo natchnioną minę. — Wydzierzawiłbym im drewnutnię — mówi do siebie — są tego warte. Wprawdzie jest tam pochowana moja żona, ale zrobiłoby się tam dla niej ustronny kącik. Pali mnie ciekawość — mówi Ropuch i wyciąga szyję, aż mu wszystko trzeszczy i oczy robią się strasznie wielkie.

Zresztą nie tylko Ropuch słyszy wielką wrawę Patalonków. Leśniczy wyszedł na próg leśniczówki i patrzy w tamtą stronę, po czym odwraca się do żony i mówi:

— Patalonki bardzo się z czegoś cieszą, może zmieniło się coś na świecie, a my nic nie wiemy w tej naszej leśniczówce. Chodź, żono, posłuchaj.

Żona leśniczego wychodzi na próg i staje obok niego. Oboje są zasłuchani w coraz to potęgującą się wrzawę dochodzącą od wielkiej wody.

— To one — mówi leśniczy — to one, może pokonały Czarodzieja?

— Nie chce mi się wierzyć — odpowiada żona leśniczego.

Nasłuchują. Patrzą na siebie.

Z piwnicy wygląda Ropuch.

I nie tylko oni słyszą ten okrzyk zwycięstwa. Również dzikie gęsi, siedzące akurat na jajach, nieco znudzone, podnoszą nagle głowy i słuchają.

— Co to? — mówią w pierwszej chwili.

— To Patalonki — odpowiadają gąsiory, które w mig rozpoznały tamten rwetes.

— Krzyczą o jakimś zwycięstwie — mówią gęsi i dziwią się. — Może pokonały Czarodzieja? — mówią jedne, a inne wątpią, bo wydaje im się to zupełnie niemożliwe.

GDZIE SĄ TWOJE GRANICE, WIELKA WODO?

Tymczasem Patalonki tańczą i krzyczą z wielkiej radości, a woda robi się coraz bardziej błękitna i coraz bardziej miękkie są jej fale. Żółtych much już nie ma, słyszać w tym miej-

scu jakieś głosy, być może istnieje jeszcze Czarodziej, ale o tym Patalonki nie wiedzą. Wszystko naokoło się cieszy, nawet wielki dąb podskoczył sobie dwa razy ze swymi grubymi korzeniami, aż ziemia jęknęła. Nawet kamienie nadbrzeżne leżą bliżej siebie i szepczą jedno drugiemu, że złego czarodzieja już nie ma.

— Nie ma go — słysząc szelest garnących się do siebie kamieni.

Kiedy Patalonki już się bardzo zmęczyły, siadają na brzegu wielkiej wody i zaczynają z nią rozmowę.

— Gdzie są twoje granice, wielka wodo? — pytają.

— Nie mam granic — odpowiada wielka woda. — Kończę się tam, gdzie niczyja pamięć ani wzrok nie sięgają.

— A więc się kończysz... — mówią Patalonki.

— Myślę, że tak — odpowiada wielka woda — ale nie jestem tego pewna.

— Śmieszne — mówią Patalonki chichocząc — więc sama siebie nie znasz.

— A co jest w tobie w środku, w twoim brzuchu, czy tam są tylko ryby i skorupiaki, czy też jest coś jeszcze?

— Tam jest cudowna kraina — odpowiada wielka woda — której sama nie znam, a nikt nie chce mi o niej opowiedzieć.

— Biedna wielka woda — martwią się Patalonki. — Popłyniemy do twojej cudownej krainy i wszystko ci dokładnie opowiemy.

— Musicie mieć do tego statek — odpowiada

wielka woda. — Może to być wielka muszla, jesteście takie małe, i przy okazji nigdy ten wasz statek nie zatonie.

— Dobrze nam radzisz, wielka wodo — mówią Patalonki — wyrzuć więc muszlę i wnet udamy się w stronę twojej cudownej krainy.

PATALONKI MYŚLĄ, ŻE ICH ROZMÓW NIKT NIE SŁYSZY

Kiedy Patalonki siedzą już w muszli, patrzą, a na brzegu ktoś ich żegna. Tam stoją leśniczy z żoną, Ropuch, dzikie gęsie, a nawet żmija.

— Płyniemy do cudownej krainy! — wołają w stronę brzegu.

Żegnający machają do nich rękami i łapami, a Ropuch grubym głosem woła:

— Będziemy tu na was czekać, wracajcie rychło z tej cudownej krainy!

— Dobrze, dobrze — odpowiadają Patalonki — bądź dobrej myśli, Ropuchu, wstąpimy do twojej piwnicy w drodze powrotnej.

Patalonki wyglądały bardzo pięknie w tej swojej muszli, całe jej dno wypełnione było słońcem, a pod tym było kilka różnokolorowych warstw, tak że ostatnia, którą obmywały fale, łączyła się swoim kolorem z wodą. Patalonki siedziały lub leżały na dnie muszli, całe zanurzone w ten miękki słoneczny dywan. Również ich skrzydła nabierały kolorów.

— Nigdy nawet nie marzyliśmy o takiej podróży — mówi Agnieszka. — Chciałyśmy je-

dynie zobaczyć na swoje własne oczy wielką wodę, a teraz jedziemy prosto do cudownej krainy.

— Może tam będą ładne stroje — marzą dziewczęta i dorosłe kobiety.

— Może tam będzie złoto — marzą mężczyźni młodzi i starzy.

A wielka woda wszystko słyszy, ale nic nie mówi.

Patalonki myślą, że ich rozmów nikt nie słyszy. Zresztą wiele jeszcze innych marzeń mają Patalonki, jedne chcą być piękniejsze, inne marzą o tym, aby być wyższe, jeszcze inne myślą w skrytości, aby mieć dużo jedzenia. Każde z Patalonków o czymś marzy i o tych marzeniach rozmawiają. Nieliczne tylko siedzą zamyślane i nic nie mówią.

Agnieszka trzyma swoje skrzydła oburącz, na końcach są trochę wygniecione. Niektóre Patalonki się gimnastykują. Biegają po całym dnie muszli i robią przysiady, skoki i wyrzuty ramion. Mają one krótkie spodenki i koszulki gimnastyczne. Również Gustaw z nimi biegnie. Starsze Patalonki, zwłaszcza panie, klęczą i modlą się albo śpiewają. Śpiew ich, zwielokrotniony przez echo, wydobywa się z muszli na świat z taką siłą, że przelatujące dzikie gęsi zmieniają kierunek sądząc, że są wśród samych gwiazd. Są i takie Patalonki, które grają w karty. Śmieją się przy tym a dokazują.

Nagle coś wstrząsa muszlą i wszystkie zwalają się na bok. I w tym momencie przez wielką dziurę wpada z szumem rwąca struga wody.

— Rety, koniec z nami! — krzyczą Patalonki i wdrapują się na samą krawędź muszli.

Gustaw i kilku innych młodzieńców rzucają się na samo dno i czapkami zapychają dziurę. Kiedy wylano wodę, król Sinobrody zwany Słoneczkiem chciał udekorować Gustawa jakimś krzyżem. Ale Gustaw odpowiada:

— Dziękuję ci, Sinobrody, niepotrzebny mi jest ten krzyż, ja nie dla niego narażałem swoje życie. Chciałem po prostu, abyśmy nie zginęli.

Zdumiał się król Sinobrody zwany Słoneczkiem, takiej szlachetności u młodzieńca nigdy się nie spodziewał.

— Tobie nie zależy na tym, aby otrzymać ode mnie krzyż? — dziwi się Słoneczko.

— Nie, Sinobrody, nie dbam o to zupełnie — odpowiada Gustaw. — Musiałbyś nam wszystkim dać krzyże — dodaje — skoro pokonałyśmy Czarodzieja i udajemy się w tak długą i niebezpieczną podróż.

Wszyscy chwalą Gustawa za jego szlachetność i wielki rozum. A król Sinobrody zwany Słoneczkiem stoi na środku muszli, policzki ma ozłoczone słońcem i kiwa głową zamyślony. Nie potrafi tego zrozumieć.

CHOINKA I KOLOROWE KULECZKI

Płyną Patalonki przez wielką wodę, raz wi-dać je wysoko na fali, a drugi raz giną, po-nieważ spadają z tej fali gwałtownie. Kołyszą



się miękko na wodzie bez wstrząsów i chybotania. Wielka woda im sprzyja. Złych wiatrów już nie ma, kto by je zresztą słał, skoro już nie stało Czarodzieja. Kto by słał te zimne i gwałtowne wiatry? Patalonki są więc bezpieczne i cieszą się z tej podróży, od miękkich fal dzielą je różnokolorowe warstwy muszli, a dziura zatkana jest czapkami.

Wiozą ze sobą cały świat; ciągną się długie opowieści, słyszeć śpiewy i muzykowanie, a z daleka nie są większe z tą swoją muszlą od jednej kropli oceanu. Raz wydaje się, że wszystkie gwiazdy mogą się na tym okręcie zmieścić, a drugi raz, że Patalonki są drobnym pyłkiem, o którym gwiazdy nic nie wiedzą. Jakkolwiek by było, Patalonki są szczęśliwe. Płyną do cudownej krainy. Nie wiedzą, gdzie ona jest, ale wielka woda im sprzyja i na pewno wnet tam dopłyną. Na krawędzi ich muszli rozsiadło się słońce. Bywa tak, że kropla niespokojna tam wpada i długi czas razem z nimi płynie. Dla kropli nie jest to wielka atrakcja, ale dla muszli tak, przyjemniej jest bowiem przeglądać się w czymś takim jak statek Patalonków niż w wodzie, która jest i chybotliwa, i wewnątrz niestała. Słońce nigdy nie jest pewne, czy to jego własne odbicie, czy też odbicie księżyca. A teraz wszyscy płyną zadowoleni w kierunku cudownej krainy.

W pewnej chwili pomiędzy jedną falą a drugą wyrosła sobie zielona choinka pełna świecących bombek. Patalonki wstrzymały oddech i patrzą. Choinka mieni się iskrami różnokolo-

rowymi, najbardziej jasną czerwienią, która przy kołysaniu robi wrażenie żywej wstęgi.

— A więc to tak — szepczą — przed cudowną krainą rośnie ta kolorowa choinka. Jaka ona piękna! Mieni się czerwienią i złotem i stoi zupełnie nieruchomo pomimo tych wielkich fal.

Patalonki nie mogą się napatrzeć na tę mieniącą się kolorami choinkę.

— Będziemy tu cumować — mówią.

Zawijazują linę za pień i muszla kołysze się spokojnie na fali.

— Na pewno jesteśmy już niedaleko cudownej krainy — mówią Patalonki i rzucają się wpław.

Mijają choinkę i kiedy patrzą w górę na świecące bombki, w ich oczach żarzy się ta sama kolorowa wstęga. Potem opuszczają powieki, a w ich oczach ginie również tamten piękny obraz zielonego drzewka. Patalonki zajmują całą falę, tak że, gdy robi się z tej fali wierzchołek, krzyczą jedno do drugich, bo jedno są u góry, a drugie na dole.

W pewnej chwili jedna z fal staje nieruchomo i powstaje wielka biała równina. Patalonki schodzą na tę równinę. Jest sucho.

— Dziwne — mówią do siebie — tu jest sucho, widać wielka woda zadbała o to, aby było sucho.

Trzymają swoje skrzydła pod pachą i brną w białym, suchym piasku. Za zakrętem widzą kolorowe skalne kuleczki. Kuleczki toczą się, zderzają ze sobą i dźwięczą. Patalonki dotykają je rękami i czują, że kuleczki te są żywe.

— Kim jesteście? — pytają Patalonki.

— Jesteśmy zaklętymi dzikimi gęsiami — odpowiadają kuleczki.

— Co mamy robić — pytają Patalonki — aby zdjąć z was zaklęcie?

— Wypowiedzieć te słowa — mówią kuleczki — „abrakadabra-plum”. Patalonki powtarzają: „abrakadabra-plum”. Obok nich stoją dzikie gęsi i wygładzają swoje pióra.

— Lećmy stąd — mówią ptaki — ta woda jest zdradliwa, na pewno płyniecie do cudownej krainy?

— Tak — odpowiadają Patalonki — właśnie tam płyniemy.

— Nie istnieje żadna cudowna kraina — mówią dzikie gęsi — ta woda jest zdradliwa, sądzimy nawet, że to ona wyhodowała złego Czarodzieja, a potem nie potrafiła sobie z nim dać rady.

— Rzeczywiście — mówią Patalonki — myśmy wyciągnęły z niej potwora.

— Dzikie gęsi mają rację — rzecze Gustaw — ja im wierzę. Nie wiem, jaka jest wielka woda, zdradliwa czy nie, ale ja wierzę tym ptakom.

— Ja też — odpowiada Agnieszka — to one nam pomogły, gdy byliście zamienione w kamienie i ryby.

Znów Patalonki podzieliły się na dwa obozy. Jedne były po stronie Gustawa i Agnieszki, a inne po stronie wielkiej wody.

— Tak bardzo marzyliśmy, aby zobaczyć wielką wodę, a teraz okazałaby się ona zdradli-

wa — oponowały tamte Patalonki. — Tyle w niej miękkości, tyle dobrych szeptów — dodawały — ona nie może być zła.

— Nikt nie mówi, że woda jest zła — odpowiadają dzikie gęsi — mówimy jedynie, że jest zdradliwa.

O mało co nie powstałaby wielka kłótnia, ale na szczęście dzikie gęsi sposobiły się do odlotu i zaczęły się żegnać z Patalonkami.

— Gdybyście nas potrzebowały — mówią — dajcie znać rybom, one przedostaną się rzekami do jezior, nad którymi mieszkamy i gdzie mamy swoje gniazda.

Patalonki podziękowały dzikim gęsiom i one odleciały. Pozostał po nich szum skrzydeł i pewna wątpliwość dotycząca tego, jaka może być wielka woda.

NIE DO WIARY — SZEPCZĄ PATALONKI

Każdy z Patalonków pozbierał swoje skrzydła i teraz idą dalej białą, piaszczystą drogą. Nie są jednak tak radosne, jak na początku. Nie dowierzają wielkiej wodzie. Mają wprowadzić swoje skrzydła, mają łączność z dzikimi gęsiami poprzez ryby, ale wielka woda jest potężna. Raz po raz można zauważyć wystraszone wzrok Patalonka obserwującego góry wody, tworzące wzdłuż drogi potężne ściany. Dzielne są jednak Patalonki, mimo tych wielkich niebezpieczeństw idą swoją drogą.

Za jednym z zakrętów stoją trzy choinki

obwieszzone złotymi i czerwonymi bombkami.

— Choinki! — krzyczą Patalonki i biegną w tamtą stronę.

Bombki kołyszają się i raz odbijają w swym wnętrzu Patalonki, a drugi raz jakiś inny świat, którego Patalonki nigdy przedtem nie widziały.

— To tam — mówią — w tym odbiciu jest cudowna kraina, o której wspominała wielka woda.

Wszystkie patrzą zdumione. Złote powozy z końmi podkutymi srebrnymi podkowami, panowie w wysokich cylindrach z dłońmi wyperfumowanymi, a w karetach białe łabędzie.

— Nie do wiary — szepczą Patalonki — czyżby możliwe było, abyśmy tam mogły wejść?

— Choćby na chwilę! — piszczą dziewczęta. — Chcemy dotknąć grzyw tych koni, chcemy pocałować łabędzie prosto w szyję, chcemy stanąć jedną nogą na stopniu karety.

— Czyż możliwe jest, aby to nam było dane? — szepczą inne Patalonki. — Przecierają oczy, mówiąc: — Może to sen, poczekajmy chwilę, jeżeli szybko minie, to wtedy na pewno jest to sen.

— To nie sen — odpowiada z głębokim westchnieniem wielka woda. — Wejdźcie tam, a przekonacie się same.

Patalonki wchodzą w to odbicie nie znane im świata, które widzą w kolorowych bombkach choinkowych. Kiedy już są w środku, ich głosy nabierają siły i szlachetnej melodii. Mówią śpiewając.

Chwilę stoją oniemiałe i wtedy z daleka przyjeżdża do nich wielki wóz nakrapiany gwiazdami, zaprzężony w dwa siwe konie. Cały wóz wyładowany jest piernikami. Woźnica stawia obok båt, zawiązuje lejce na kłonicę, bierze pełne naręcze tych pierników i rozdaje Patalonkom.

— Bierzcie — mówi woźnica — jedzcie, w tej krainie trzeba jeść pierniki, bo inaczej można stać się zwykłą iluminacją.

— Jak to jest — pytają Patalonki — kiedy jest się iluminacją?

— Kiedy się nie je pierników — objaśnia woźnica — i powstaje na przykład z takiego Patalonka jeden błysk, i koniec.

— Jeden błysk, i koniec — zastanawia się Gustaw — to jest bardzo mało.

— Tak — odpowiada woźnica — to jest nic.

Siwa broda woźnicy opada na pierniki i kiedy Patalonki wyjmują piernik, to chcąc nie chcąc muszą poruszyć całą brodę.

— Jak tu pięknie! — mówią Patalonki jedząc przy tym pierniki.

Łabędzie witają się z nimi wyciągając z karret skrzydła. Patalonki biorą w swoje ręce te skrzydła i potrzęsają nimi.

— Jesteśmy w cudownej krainie — mówi Agnieszka.

— Nigdy nie myślałem, że tam dojedziemy — dodaje Gustaw. — Jak to jest możliwe,

że ona istnieje właśnie tu? — zastanawia się. Czyżby takie odbicie istniało naprawdę?

— Jesteście bardzo mądre — mówi jeden z łabędzi przysłuchując się głośnym rozważaniom Gustawa.

Patalonki ucieszyły się z tej opinii łabędzia i wszystkie teraz zaczęły powątpiewać — istnieją też naprawdę, czy to jest tylko złudzenie. Łabędzie chwaliły je coraz bardziej, aż w końcu powiedziały:

— Najlepiej uszczypnijcie jeden drugiego, to zobaczycie, czy jesteście naprawdę, czy też was nie ma.

Patalonki korzystając z tej rady jęły szczypać jeden drugiego i chichot przy tym powstał wielki.

— Jesteśmy — śmieją się — jesteśmy. Nasza mądrość jest inna — dodają — a wasza — mówią zwracając się w stronę łabędzi — pochodzi z cudownej krainy, więc nie mogą one być jednakowe.

— Nie mogą — zgadzają się łabędzie — nasze mądrości pochodzą z zupełnie innych światów.

KSIĘŻYCOWA PANI

— Ktoś jedzie tam z daleka — mówią Patalonki — kto by to mógł być?

Woźnica patrzy w tamtą stronę.

— To sama Księżycowa Pani — mówi. — Widać dowiedziała się o was i jedzie się przywitać.

Ledwie przebrzmiały słowa woźnicy, a sześć koni z mlecznobiałymi grzywami i gwiazdami na czołach wpada z wielką kareta, w której siedzi sama Księżycowa Pani. Ma srebrne naramienniki, błyszczące paznokcie i zielony wianek na głowie.

— Witajcie, Patalonki — mówi tak pięknym głosem, że niektórym Patalonkom popłynęły z oczu łzy. — Jestem Księżycową Panią — mówi ona — dowiedziałam się, że jesteście tu i chciałam się z wami zobaczyć.

— A więc ty jesteś Księżycowa Pani! — mówią Patalonki. — Dzień dobry w twoim królestwie, jesteśmy tu w gościnie, już otrzymaliśmy pierniki i rozmawialiśmy z łabędziami.

Księżycowa Pani podaje każdemu z Patalonków rękę i kiedy dotykają tej ręki, przez ich ciało przebiega chłód i dreszcz.

— Jesteś zimna — mówi wreszcie jeden z Patalonków.

— Nie czuję tego — odpowiada Księżycowa Pani — dopiero w zetknięciu z wami jest mi jakoś inaczej niż zwykle.

Jedne z Patalonków biorą do ręki jej białą szatę, która spada aż do ziemi, inne interesują się końmi, a jeszcze inne kareta.

— Chciałabym być choć przez chwilę Księżycową Panią — mówi Agnieszka.

— To jest niemożliwe — odpowiada woźnica. — Skoro jesteś Patalonkiem, to nie możesz być kim innym.

— Ale tylko na minutkę — mówi Agnieszka — potem już będę Patalonkiem.

— Gdybyś była choć minutkę — śmieje się woźnica — to chciałabyś być łabędziem, koniem, a może nawet woźnicą. Każdy ma tu swoją przypisaną rolę.

Te słowa bawia Patalonki.

— Bardzo lubimy taką cudowną krainę — mówią. — Czy istnieje tylko jedna, tutaj, otoczona wielką wodą?

— Myślę, że to nie jest jedyna cudowna kraina — odpowiada woźnica — ale ja mieszkam w tej i nie mógłbym być jednocześnie w innej.

Wszyscy kiwają głowami nad mądrymi słowami woźnicy i postanawiają zapytać kogoś czy istnieją inne cudowne krainy.

NIE JESTEM SAMA — MÓWI KSIĘŻYCOWA PANI

Patalonki wchodzi do złotej karety i poruszają maleńkimi srebrnymi dzwoneczkami. Powstaje muzyka. Woźnica siedzi na ziemi i jest w tę muzykę wsłuchany. Również Księżycowa Pani ma zamglone oczy, widać bardzo tę muzykę przeżywa. Rękawy jej są z drobnych zielonkawych paciorków, a na szyi błyszczą piękne, białe korale. Patalonki dotykają tych korali rękami, ostrożnie, wstrzymując przy tym oddech. Dotykają również paciorków na rękawach.

— Czy tobie nie jest smutno w tej złotej karecie? — pytają Księżycową Panią Patalonki.

Ona uśmiecha się.

— Nie jestem sama — mówi — razem ze mną jest woźnica i choinka.

— Dziwnie mówisz — odpowiadają Patalonki. — Choinka tylko świeci i nic więcej. A może ty zamiast serca masz taki zielonkawy paciorek?

— Może — zamyśla się ona — nigdy się nad tym dobrze nie zastanawiałam.

Patalonki przykładają uszy do jej piersi i nasłuchują.

— Coś dzwięczy — szepczą — to nie jest paciorek. Może to dzwon albo kamień?

— Myślę, że to nie jest kamień — mówi Księżycowa Pani. — Odczuwałabym jego ciężar.

— Ona ma rację — mówią Patalonki — tam na pewno siedzi coś żywego.

— A może to Ropuch?

Patrzą na siebie zdumione.

— Ropuchu — krzyczą — czy to ty?

W środku słyszeć oblizywanie się.

— To ja — dochodzi wreszcie z piersi Księżycowej Pani nieco ochrypły głos Ropucha.

— Jak to możliwe, Ropuchu, że ty jesteś na miejscu serca Księżycowej Pani? — mówią Patalonki. — Nie możemy tego zrozumieć.

— Ha, ha — śmieje się Ropuch — nie wiem, o jakiej Księżycowej Pani mówicie, jestem w swojej piwnicy. Może jesteście pijane.

Niektóre Patalonki obraziły się na Ropuchą i patrzą w drugą stronę.

— Jak on może mówić, że jesteśmy pijane? — mruczą przez zaciśnięte zęby.

— Już dobrze — mówi Ropuch — nie bądźcie obrażone, tak mi się tylko powiedziało.

— Dobrze, Ropuchu, już nie jesteśmy obrażone — i odwracają się z powrotem. Ale gdy szukają oczami Księżycowej Pani, to jej tam nie ma,

Gdzieś daleko widać mgłę, a przed nimi jest piwnica ze śmiejącym się Ropuchem i w ogóle cała leśniczówka.

— Co to było? — dziwią się Patalonki. — Płynęliśmy w pięknej muszli przez wielką wodę, potem ta świecąca choinka, potem wóznicą i Księżycowa Pani, a teraz ty, Ropuchu!

— Ha, ha — śmieje się Ropuch — wiedziałem, że się spotkamy, żyjemy na tym samym świecie i od dawna chciałem wam zaśpiewać swoje arie. Nigdy jednak nie miałyście czasu — dodaje ze smutkiem w głosie.

— Już dobrze, Ropuchu — uspokajają go Patalonki — dziś mamy czas i chcemy odpocząć po tym dziwnym żeglowaniu, więc chętnie posłuchamy twoich arii.

Oczy Ropucha śmieją się, przednimi łapami wygładza swoją gardziel i ustawia się przodem do Patalonków. Stoi na framudze piwnicznego okna, a naokoło wszystkie Patalonki ze skrzydłami pod pachą wpatrzone w niego. W oczach Ropucha widać wielkie szczęście. Nareszcie ma słuchaczy, o jakich marzył od lat. Nareszcie spełnią się jego wielkie nadzieje, otrzyma oklaski i Patalonki będą mówiły o nim, Ropuchu, jako o wielkim śpiewaku. Za chwilę spełnią się wszystkie jego marzenia.

Jeszcze nigdy w leśniczówce nie było takiego cudu. Na pewno zbiegną się wszyscy znajomi i żmije, i młode ropuchy, jego dzieci. Szkoda, że nie może tego słyszeć żona Ropucha, tak dawno już nie żyje. Ropuch prostuje się, wypina brzuch, aż sięga do pierwszego Patalonka, a Gustaw krzyczy:

— Tylko nie pękni, Ropuchu, bo cała leśniczówka pójdzie w powietrze.

— Nie bój się, Gustawie — odpowiada Ropuch — na pewno nie pękne, muszę tylko nabrać powietrza w płuca.

I wtedy rozległa się aria. Trawa od razu zwiędła, żona leśniczego wybiegła z krzykiem myśląc, że się coś pali, żmije pędziły oszalałe przez pola, byle dalej od tej leśniczówki, nawet stare drzewa zwiesiły bezwładnie swoje gałęzie, a oczy Patalonków zrobiły się okrągłe, że wydawać się mogło, iż mają kłopoty z żołądkiem.

Ropuch zrobił się siny i wtedy zaśpiewał drugą arię. Patrzy w niebo cały uduchowiony i wzruszony. Patalonki wachlują się skrzydłami i zęby mają zaciśnięte. Za wszelką cenę nie chcą sprawić Ropuchowi przykrości. Kiedy skończyła się druga aria, Patalonki zaczynają protestować:

— Ropuchu, może trzecią arię wysłuchamy później — wiedzą one dobrze, że tego już żadne z nich nie byłoby zdolne wytrzymać.

— Chcecie później słuchać tej arii — mówi Ropuch — to dobrze, ale powiedzcie, jak wam się te dwie podobały.

- Patalonki patrzą jedno na drugie, wreszcie mówią:

— Były trochę głośnie.

— Całe życie się do tego sposobilem — mówi Ropuch — dlatego to ze mnie tak od razu wyszło. Mam coś łagodniejszego, będzie wam się podobało, ale to jest chór złożony z moich synów. Zaśpiewamy menueta. — Patalonki zaczynają się kręcić i jedno po drugim gdzieś znikają. Ropuch nie zważa na to, zwołuje swoich synów, ustawia ich i śpiewają menueta. Zza krzaków, z trawy, zza drzew wychylają się głowy Patalonków, które mówią:

— Teraz nie jest już tak źle, ten menuet jest o wiele łagodniejszy.

Zbliżają się do leśniczówki i kiedy śpiew się kończy, wszystkie one zaczynają klaskać. Również żmije wróciły, trawa ożyła, gałęzie się wyprostowały, a Ropuch zadowolony wodzi wzrokiem po Patalonkach, zasłuchanych żmijach, a nawet patrzy w stronę żony leśniczego, która uspokojona wraca do domu.

— To było niezłe — mówią Patalonki.

— To było piękne — rzecz wzruszona Agnieszka. — Jak cudnie śpiewacie razem.

— Na to czekałem od lat — mówi Ropuch ze łzami w oczach. Od lat — powtarza i dolna szczeka drży mu ze wzruszenia, a z oczu płyną gorące, rześiste łzy. — Na to czekałem od lat — mówi patrząc na Patalonki.

One, widząc wzruszenie Ropucha, rozmawiają między sobą mówiąc, że nie przypuszczały, aby Ropuchowi tak bardzo na tym zależało.

— Wyprawiam ucztę na tę cześć — oznajmia Ropuch — i wszystkich was zapraszam do piwnicy.

TERAZ ZAŚPIEWAM WAM TRZECIĄ ARIĘ

Zadowolone Patalonki wchodzą przez okno do piwnicy i mówią:

— Ropuch jest taki samotny, może by mu poszukać żony i byłaby to od razu uczta weselna.

Kilka Patalonków wypuściło się w ogród i nad niedaleki staw w poszukiwaniu żony dla Ropucha. Inne siadają na ziemniakach. Ropuch wyjmuje swoje zapasy — to kawał dżdżownicy, to zdechłą stonogę, to muchę oraz wiele innych przysmaków. Patalonki raczą się tym i chwalą umiejętności śpiewacze Ropucha.

— Te arie były jednak za głośne, ale menuet nam się ogromnie podobał.

— Żyję tu sam — żali się Ropuch — i kiedy raz w życiu zaśpiwam, to nie dziw, że jest to trochę głośno. — I śmieje się przy tym.

— Nie będziesz sam — mówią Patalonki — i w tym momencie wchodzi kilka z nich, prowadząc żonę dla Ropucha.

Jest tak samo szara, trochę ciężka, zwłaszcza gdy idzie, ma oczy nieco mniejsze od Ropucha, a w ogóle jest od niego dłuższa. Chwilę trwa milczenie. Wpatrują się w siebie.

— To jest moja sąsiadka — mówi Ropuch — już wielokrotnie rozmawialiśmy o małżeństwie,

ale nie mogłem się zdecydować. Teraz postanowiłem, że będzie to uczta weselna.

Patalonki łapią ich oboje i usiłują podrzucić do góry, ale Ropuch i jego żona są za ciężcy i wszystko kończy się jedynie na okrzykach. Pełno tu wiwatów za zdrowie młodej pary i w ogóle piwnica zamienia się w dom weselny.

Damy Patalonki przynoszą wianek z kwiatów i wkładają go na łeb Ropuchowej, a potem proszą, aby się oboje pocałowali. Ropuchy zbliżają swoje wargi, a Patalonki wrzeszczą zupełnie jak opętane.

— Teraz zaśpiewam wam trzecią arię — mówi Ropuch.

Śpiewa.

Jest to zupełnie inna aria, łagodna, pełna słodyczy i piękna. Patalonki słuchają jej z zachwytem. Przerywają Ropuchowi, klaszczą, chwala go, to samo zresztą robi Ropuchowa.

— To jest mój wielki dzień — mówi Ropuch — nie pragnę niczego piękniejszego.

Po arii są rozmowy i uczta ciągnie się niemal cały dzień.

O CZYM ROZMAWIAJĄ ŻMIJE

Kiedy śpiewy i śmiechy w piwnicy ucichły, Ropuch kładzie swój łeb na okrągły ziemniak i drzemie. Przymyka oczy i otwiera, i tak co chwila. Patalonki leżą po całej piwnicy i też na parapecie okna. Wszyscy są zmęczeni. Tylko Ropuchowa jeszcze rozpromieniona gładzi się po brzuchu i szyi, a cienka jej skóra drga od

tego głaskania. Wszędzie słyhać chrapania, również w pokoju leśniczego. I tak wszyscy razem śpią w leśniczówce, jedni w ziemniakach, a drudzy w łózkach. Tylko żmije prowadzą swoje nocne życie. Obie zaglądają przez okno do piwnicy, a widząc śpiących Patalonków, Ropucha i Ropuchową, mówią:

— Dobra była uczta, szacowny jest ten nasz sąsiad Ropuch i szczęśliwa ta skromna Ropuchowa, że jeszcze na stare lata pomieszka sobie w takiej pięknej piwnicy. Nie przeszkadzajmy im — mówią po chwili — niech sobie śpią. Dobra była uczta — dodają i wycofują się do tyłu.

Żmijom zresztą łatwo jest wycofywać się w ten sposób. Zostawiają śpiące Patalonki, rozciągniętego na dwóch ziemniakach Ropucha i leżącą nieco na boku Ropuchową. Żmijom błyszczą oczy, niebo jest jeszcze nie roziskrzone gwiazdami. Zwijają się w wielkie szare kręgi poruszając nerwowo ogonami. Niewidzialne z góry czują się tu dobrze. Jest cicho. Wiśniowe drzewa w sadzie stoją nieruchomo, rzucają jedynie cienie na szarą ziemię. Gałęzie drzew wiśniowych są splątane. Żmije pełzają w kierunku tych cieni. Suną cicho, bezszelestnie, tylko oba ogony znikają i w zupełnie już innym miejscu widać błyski ich oczu. Pod wiśniami przystają i znów rozmowa schodzi na minioną ucztę.

— Ropuch jest statecznym i dobrym sąsiadem — mówią — będzie jeszcze długie lata żył w zadowoleniu i szczęściu.

Tak to chwaliły dobrego Ropucha jego sąsiadki żmije, a w ich oczach widać było rozmarzenie i łzy.

Ogród stał cicho, czasem tylko któraś ze żmij trąciła suchy liść albo badył i wtedy było wiadomo, że ktoś tam jest... Poza tym jedynie cienie igrały po tej szarej ziemi.

— Musimy im sprawić piękne prezenty — mówi jedna żmija. — Może patelnię Ropuchowej, będzie mogła usmażyć sobie stonogę.

Żmije wyciągają ze śmietnika starą zardzewiałą patelnię i wloką ją w kierunku piwnicy. Co chwila przystają ocierając pot z czoła i mówią:

— Należy im się taki prezent, to dobrzy sąsiedzi. — Będąc już na skraju okna nagle patelnia przechyliła się i z łomotem razem z jedną żmiją spada do piwnicy. Jest jasna nos, ale w piwnicy jest dość ciemno.

Wszyscy zrywają się na równe nogi, a żmije tłumaczą się, że chciały po cichu położyć obok Ropuchowej prezent — tę oto patelnię, aby mogła na niej usmażyć stonogę.

— Nie tylko stonogę — mówi Ropuchowa — usmażę też dżdżownicę i muchę.

— Oczywiście — przytakują żmije — na tym wszystko można usmażyć.

I Patalonki, i Ropuch z Ropuchową cieszą się z takiego pięknego prezentu i całują się ze żmijami.

— Że też jesteście takie dla mnie dobre! — mówi Ropuch. — Nawet w nocy myślicie, jaki by nam prezent sprawić.

Zarówno Ropuch, jak i żmije ślinią się przy całowaniu, mają wtedy wokół całego pyska biały wianuszek piany.

— Skoro mamy taki piękny prezent — mówi Ropuch — to zatańczymy z tej okazji.

Wszyscy biorą się za ręce i łapy, a żmije trzymają się sąsiadów ogonami i tańczą. Taki ruch powstał w piwnicy, że żona leśniczego się zbudziła. Nasłuchuje. Najgłośniejsze śmieje się Ropuch, a zresztą i Patalonki też słysząć daleko. Żona leśniczego siada na łóżku i patrzy w podłogę pod swoje stopy. Oczy ma zdziwione i usta zamarłe w pół słowa.

— Co to? — szepcze — Tam ktoś jest.

Wychodzi przed dom. Idzie boso po trawie w kierunku piwnicy. Zagląda do środka. Wszyscy zamierają i patrzą na wielką postać żony leśniczego.

— Jaka ona wielka! — szepczą niektóre Patalonki, zwłaszcza młode, które nigdy, na własne oczy nie widziały człowieka tak blisko. — Jaka ona wielka! — szepczą zdumione.

Żona leśniczego niczego nie zauważyła w piwnicy, ponieważ było tam ciemno. Wraca więc z powrotem i mówi do siebie:

— Zdawało mi się, że tam ktoś był, ale niczego nie zauważyłam.

Tymczasem wśród Patalonków rozgorzała dyskusja o ludziach.

— Jacy oni są? — zastanawiały się jedne. — Ty ich dobrze znasz, Ropuchu — zwracały się do niego — żyjesz tu od lat i wiele rzeczy widziałeś.

— To prawda — mówi Ropuch — ale to tylko dwoje ludzi, czasem przychodzą tu w gościnę sąsiedzi, ci jednak tak walą obcasami, że boję się siedzieć przy szparze z otwartymi oczami. Myślę, że istnieją jeszcze inni ludzie, ale dobrze tego nie wiem. Słyszałem, jak ptaki rozmawiały ze sobą w locie na ten temat, ale one leciały szybko i nie wszystko zrozumiałem.

— Jacy są ci ludzie? — zastanawiają się Patalonki. — Ta żona leśniczego jest olbrzymia, ona jedną nogą zasłania całe nasze okno od piwnicy.

Patalonkom aż dech zapierało od wyobrażenia sobie tej nogi i w ogóle całej leśniczyny.

— Ona musi być większa niż sad wiśniowy — mówią niektóre.

— To trudno powiedzieć — zastanawiają się zmije. — Sad jest pewnie obszerniejszy, ale za to w nim hula wiatr.

— W leśniczynie może też hulać wiatr — mówią do siebie Patalonki — tylko że nie zawsze.

— Na pewno nie zawsze — potwierdza Ropuch, a jego gruby głos nadaje temu stwierdzeniu wielkie znaczenie.

— Ale tym ludziom musi być dobrze — mówi Gustaw — mogą sięgnąć aż do chmur albo jeszcze wyżej i jak chcą, zdejmą sobie gwiazdkę z nieba.

— Myślisz, że oni aż tam sięgną ręką? — pyta Agnieszka. — To jest bardzo wysoko.

— Jeżeli nie sięgną z ziemi, to wejdą na

dach leśniczówki. Wtedy na pewno sięgną — odpowiadają żmije — leśniczówka jest wyższa niż sad wiśniowy.

Patalonki oczy otwierają ze zdumienia.

— Gdybyśmy tak my były ludźmi — mówią. — Ale spróbujmy robić to, co oni, będziemy wtedy też takie.

— Będziemy jeszcze potężniejsze! — krzyczy jeden z Patalonków.

Krzyk ten przyprawił wszystkich o zawrót głowy.

— Byłybyśmy potężniejsze od nich — szepczą zdumione.

POTEM NASTĄPIŁO POŻEGNANIE ZE ŻMIJAMI

Leśniczyna stoi jeszcze na progu i nasłuchuje, patrzy na sad, potem na drogę wiodącą prosto do lasu.

Patalonki wychodzą z piwnicy i obserwują ją. Po chwili wszystkie stoją tak samo jak leśniczyna, podpierając jedną ręką bok, a drugą brodę. Patrzą też na sad i na drogę wiodącą do lasu.

— Jesteśmy prawie takie same jak leśniczyna — mówi żona króla Sinobrodego zwanego Słoneczkiem — ale brak nam koszul.

— To prawda — mówią Patalonki i zaczynają szyć sobie białe koszule z suchych liści, z trawy i z cieni mieszkających w sadzie.

Noc była jeszcze głęboka — a już wszystkie

Patalonki stoją tak jak leśniczyna, jedną nogę wysunawszy do przodu, z oczami zamyślonymi. Patrzą na sad, a potem na drogę wiodącą do lasu. Ropuch, Ropuchowa i żmije siedzą na parapecie okna i przyglądają się tej scenie.

— Jesteście bardzo śmieszne — mówi wreszcie Ropuch. — Dla leśniczyny gest ten jest naturalny, ale wy jesteście za małe, aby tak nogę wystawiać do przodu, poza tym nie widać w waszych oczach żadnego zdziwienia.

— Jak to naprawić? — pytają Ropucha Patalonki. — Może uszyliśmy sobie zbyt obszerne koszule?

— Koszule macie rzeczywiście obszerne — zauważa Ropuch — ale z tym nie byłoby tak źle, najważniejszy jest wzrok.

— Spróbujemy — mówią Patalonki — i wytężają tak wzrok w kierunku lasu, że stojące na skraju drzewa robią się rude od żaru.

— Ale macie siłę w tym wzroku! — mówi Ropuch. — Lepiej nie patrzcie teraz na mnie.

— Może trzeba inaczej — mówi jeden z Patalonków — przecież to nie jest takie ważne, że leśniczyna stoi na progu; aby być takimi jak ludzie, trzeba poznać lepiej ich zwyczaje. Lećmy przed siebie, może natrafimy na jakieś miasto z ludźmi.

— Myślisz, że ludzie też mają miasta, tak jak my, Patalonki, pod mchem? — dziwi się inny.

Uradzono, że, aby poznać zwyczaje ludzi, trzeba lecieć do miasta i tam na miejscu wszystko się wyjaśni.

Nastąpiło czułe pożegnanie z Ropuchem i Ropuchową. Było całowanie, Ropuch i Ropuchowa smakowicie mlaskali, bo bardzo Patalonki polubili. Potem nastąpiło pożegnanie ze żmijami, które też były nadzwyczaj czułe.

PATALONKI MAJĄ TERAZ NOWĄ IDEĘ, CHCĄ BYĆ TAKIMI JAK LUDZIE

Świtało, a Patalonki wznosiły się na swoich skrzydłach w przestrzeni. Leciały pomiędzy ziemią a gwiazdami. Początkowo razem z nimi leciały ich cienie, ale potem gdzieś się zagubiły.

— Jak tu cicho! — mówi Agnieszka. — Chwilami myślę, że złoto sypie się na moje włosy prosto z gwiazd.

— To jest jakaś nowa droga — mówi Gustaw — może nawet dzikie gęsi jej nie znają.

Patalonki są jednak odważne — mają teraz nową ideę, chcą być takimi jak ludzie, ciekawe, czy im się to uda. Zobaczymy. Podczas tego nocnego lotu rozmawiają ze sobą. Ropuch patrzy za nimi i dochodzi doń jedynie mruczenie.

Ropuch i Ropuchowa uśmiechają się do siebie. Żmije też leżą pod wiśniami, zapatrzone w znikający punkt na horyzoncie.

Naraz Patalonki wlatują w smugę światła.

— To jest miasto — szepczą. — Lądujemy.

Rzeczywiście, było to miasto. Ulice są jeszcze puste, gdy lądują na nich Patalonki. Niektóre siedzą na wieży kościoła, inne wpadły przez okno do sypialni mieszkań, a jeszcze inne siedzą na betonowym chodniku.





— Dziwne — mówią — takie miasto, pełno tu wielkich skał i dziur w tych skałach, widocznie ludzie lubią sobie stąd wylatywać.

— To nie są skały — twierdzą inne — to przecież domy, a ludzie nie mogą wylatywać, ponieważ nie mają skrzydeł.

Chodzą więc Patalonki po mieście, zaglądają we wszystkie szpary, stają przed wystawami sklepowymi i otwierają oczy ze zdumienia.

— Jakie to piękne i kolorowe! — mówią i przystawiają nosy do okien wystawowych.

Jeden ze sklepików miał nie domknięte okno i tam weszło kilka odważnych Patalonków, i wyciągają długi cukierek. Cukierek jest karbowany i gładki, tak że raz po raz któryś z nich się ześlizguje. Wreszcie cukierek leży na rynku i każdy, kto chce, może lizać do woli. Ale lizanie!...

Przez rynek idzie jakaś kobieta, zaspana, i nagle zdumiona otwiera szeroko oczy mówiąc: — Takie dziwne mrówki, zupełnie podobne do ludzi. — Zaczyna krzyczeć, a Patalonki gapią się na nią.

— Niech pani nie krzyczy — uspokajają — to my, Patalonki, nie jesteśmy mrówkami.

— Jak one dziwnie brzęczą — mówi kobieta i krzyczy jeszcze głośniejsze.

Zbudzeni mieszczanie wychodzą na rynek i pytają:

— Tak wcześnie rano nas obudziłaś, Apolonia, co się stało?

— Patrzcie — mówi z przejęciem Apolonia — idę sobie przez rynek i widzę cukierek,

a po nim łażą te mrówki i w dodatku tak dziwnie brzęczą.

Mieszczanie schylają się, przyglądają, wreszcie mówią:

— To nie są mrówki.

Burmistrz bierze jednego Patalonka na palec i wszyscy mu się przyglądają.

— On jest zupełnie podobny do nas — mówi. — Zobaczcie, jaką ma śmieszłą głowę.

Patalonek kłania się burmistrzowi i mówi mu komplement.

— Co on robi? — dziwią się mieszczanie. — On się kłania?

Śmiech gruchnął po rynku tak głośny, że Patalonek spadł z palca burmistrza.

I kobiety, i mężczyźni trzymają się za brzuchy i śmieją się, i śmieją. Tymczasem Patalonek relacjonuje innym kolegom, jak to było na burmistrzowym palcu.

— Miętko — mówi — i ciepło, a potem widziałem te wielkie oczy nade mną, ludzie obejmują na pewno cały świat tymi oczyma.

Co odważniejsze Patalonki zaczynają się wdrapywać ludziom po nogach do góry. Jedna kobieta zaczyna się gwałtownie drapać pod kolanem, a Patalonek niechcący ugryzł ją w palec.

Jak nie wrzaśnie ta kobieta, jak nie popędzi w drugi koniec rynku! Inny Patalonek siedzi już na łysinie jakiegoś starszego pana, który też zaczyna się w tym miejscu drapać, a widząc w swych palcach Patalonka, daje drapaką w przyległe do rynku uliczki.

Popłoch powstaje straszny.

— Oblazły nas! — piszczą kobiety.

W swoich domach zrzucają z siebie odzież i pędzą do wanny, aby zmyć z siebie to, co ich oblazło. Wszystko to robią niepotrzebnie, ponieważ Patalonki zostały na rynku i tylko przyglądają się uciekającym stąd ludziom.

— Nie można się z nimi dogadać — mówi Gustaw — są jacyś płochliwi. Może się nas boją? Dziwne, że tacy wielcy ludzie boją się nas.

— Patrzcie, teraz wyglądają przez okno. Jakie oni mają wielkie oczy! — dziwią się Patalonki. — Na pewno widzą nas wszystkich od razu.

— Na pewno — potwierdzają inne Patalonki.

Z jednej strony są więc Patalonki stojące z zadartymi głowami na rynku, a z drugiej głowy mieszczan wychylające się z okien.

PATALONKI NAWIĄZAŁY ROZMOWĘ Z ZEGAREM

Tymczasem na końcu jednej z ulic wyjrzało słońce. Potoczyło się po bruku i zamieszkało u zegarmistrza. W oknie wystawowym zegarmistrza stał wysoki zegar ze złotym sercem, tam właśnie zamieszkało słońce. Skoro tylko tam weszło, zegar poruszył się i zaczął chodzić. Również inne zegary w tym mieście zaczęły chodzić. Powstało stukanie, tykanie i turkotanie, każdy zegar bowiem miał zupełnie inny rytm. Jeden nawet wytoczył się na rynek i tam

stukał, i stukał. Patalonki zaczęły z nim rozmowę.

— Ile masz lat? — pytają go zaciekawione.

— Nie mam dobrej pamięci — mówi zegar — jeżeli tylko rok wystukam, od razu go zapomnę. Żyję tylko tym stukaniem i nie wiem, co było dawniej, jak też nie wiem, co będzie potem.

Patalonki lubią takie mądre rozmowy. Pytają, czy inne zegary też nie mają pamięci. Okazuje się, że nie.

— Ty masz piękne, srebrne wskazówki — mówią mu Patalonki.

— Dziękuję za komplement — odpowiada zegar i widać, że jest z tej rozmowy bardzo zadowolony.

Wyszły też na rynek inne zegary — małe i wielkie, złote i srebrne, niektóre otwierały się automatycznie i wtedy zdumione Patalonki nie mogły oderwać oczu od ich zmechanizowanego wnętrza. U innych świeciło się coś rubinowego.

— To są szlachetne kamienie — informuje ich jeden mniejszy, srebrny zegar.

— Czasem dobrze jest być zegarem — mówi Patalonki — nic, tylko się stuka i stuka, a w nocy, kiedy nie ma słońca, to się odpoczywa.

— Znam takie zegary, które nawet w nocy nie odpoczywają — mówi jeden złoty — widziałem na własne oczy taki stary drewniany zegar w innym mieście.

— Musiał być niezwykle sterany i chrypiący — mówią Patalonki.

— On już ledwie ciągnął — dodaje złoty. — Poza tym robaki go toczyły.

— Źle jest być drewnianym zegarem — twierdzą Patalonki — w każdej chwili mogą go ściągnąć robaki. Lepiej już być złotym.

— Albo srebrnym — uzupełnia ten srebrny.

— W naszym mieście też są drewniane zegary, ale one nie są jeszcze takie stare — mówi złoty.

— Dziwi nas to, że nie wybijacie czasu jednakowo — mówią Patalonki.

— Każdy z nas ma inny rytm — informują zegary — to zależy od wielkości, od mechanizmu i od tego, w czyje serce wejdzie rano słońce.

— A to ciekawe — dziwią się Patalonki — więc słońce też ma swój rytm i w zależności od tego wchodzi do odpowiedniego zegara?

Zegary śmieją się uradowane, że Patalonki okazują się takie mądre.

— Chcemy, abyście nas dotknęły — mówią.

Otwierają swoje wnętrza automatycznie i Patalonki podchodzą bliżej, i dotykają palcami rubinowych kamieni i zębatych kółeczek, i dźwigni. Niektóre wchodzi do tego mechanizmu i kołyszą się w rytm odmierzanego czasu.

— Jakie to cudowne — wołają — jesteście takie skomplikowane wewnątrz, że pewnie same o tym nie wiecie. Wszystko się w was porusza, życie tak samo jak my.

Zegary są zadowolone z takiego entuzjizmu Patalonków.

— Dobrze nam się chodzi w tym mieście —

mówią — i nie możemy doczekać się ranka, kiedy znów pójdziemy.

Zwłaszcza młodsze Patalonki dotykają tych kółeczek ze wzruszeniem i przejęciem. Na koniuszkach ich palców zostaje przez chwilę małeńki dołeczek i odrobina tamtej czerwieni od kamieni rubinowych na dnie tego dołeczka. Patalonki wpatrują się w to i usta same układają im się do uśmiechu.

Zegary spacerują po rynku, siadają na ławki, słychać ich powolny, zgrzytliwy chód.

— Czy zawsze spacerujecie sobie tak po rynku nad ranem? — pytają Patalonki.

— Nie zawsze — odpowiadają zegary — jedynie przy specjalnej okazji, zwykle gdy do miasta przyjdą goście, tak jak wy teraz.

Nagle zegarmistrz otwiera ciężkie posrebrzane drzwi i wychodzi na rynek. Zegary jeden za drugim wchodzi w te drzwi i sadowią się w oknie wystawowym. Jeszcze przez chwilę kiwają wskazówkami Patalonkom na pożegnanie, a potem miarowo odmierzają swój czas.

Zegarmistrz pyta, czy Patalonki mają jakieś życzenie, bo jako obcy w tym mieście mogą sobie z czymś nie radzić. Patalonki dziękują zegarmistrzowi mówiąc, że na razie nic im nie potrzeba, przy okazji wyrażają zadowolenie, że mogły sobie porozmawiać z zegarami. Nie mogą jednak w dalszym ciągu zrozumieć, jak tak różne zegary mogą odmierzać ten sam czas.

— Myślę, że każdy z nich odmierza swój czas — mówi zegarmistrz zamykając srebrne drzwi.

**ONA BĘDZIE Z WAMI ROZMAWIAĆ —
ZACZAŁ MÓWIĆ ZEGAR Z KUKUŁKĄ**

Kiedy się już wydawało, że nikogo poza Patalonkami nie ma na rynku, wyszedł z zaułka mały diamentowy zegar z kukułką.

— Ona będzie z wami rozmawiać — zaczął mówić zegar wskazując na kukułkę.

Wybiegła na swoich brązowych nogach, otworzyła szeroko dziób, zamrugła swymi szklanymi oczami i mówi:

— To jest miasto zaczarowane i wszystko tu jest tylko trochę prawdziwe, ale nie bójcie się, nie ma złego Czarodzieja, ktoś go pokonał, teraz tylko my czekamy, aż nas ktoś odczaruje.

— To my! — krzyczy Agnieszka.

— To my! — krzyczą Patalonki. — To myśmy pokonały Czarodzieja!

Diamentowy zegar z kukułką patrzy zdumiony i nie może się nadziwić:

— Wy — mówi — takie małe, wielkiego Czarodzieja?

Patalonki wdają się w rozmowę z kukułką i z diamentowym zegarem i wszystko im opowiadają. Kiedy skończyły, siedzą zadumane, bo doszły do wniosku, że to miasto trzeba odczarować, a nikt nie zna właściwego zaklęcia.

Diamentowy zegar siada na ławce i przygląda się Patalonkom. Kukułka siedzi obok i patrzy na rynek.

— Wyszedłeś z tej samej uliczki, co słońce — mówi do zegara jeden z Patalonków. — Ciekawe, dokąd prowadzą inne ulice.

— Nieraz chodzą nimi mieszkańcy po zaku-

py — mówi zegar. — Myślę, że tam są wielkie magazyny z towarami — dodaje.

— A może tam jest Czarodziej? — mówią Patalonki.

— Ee — zegar macha z lekceważeniem ręką. — Czarodziej na pewno jest pokonany, wszyscy o tym wiedzą.

— Wejdźmy w te ulice — mówią Patalonki — przekonamy się na własne oczy, co tam jest.

Tak więc najpierw diamentowy zegar, a za nim Patalonki wchodzą w proste ulice nawołując się. Za trzecim zakrętem kończy się miasto, a zaczyna pole.

— Dziwne — mówią Patalonki — nie ma tu magazynów.

Żegnają się z zegarem i idą drogą.

WIELKIE BYŁO ZDUMIENIE, GDY NIKOGO TU NIE POZNALI

— Zobaczcie, nasze strony — mówi król Sino-brody zwany Słoneczkiem.

Rzeczywiście, są na skraju swojego lasu i nie mogą wyjść z podziwu, że są tak blisko.

— Może nam się to wszystko śniło? — mówią jedne.

Inne twierdzą, że to niemożliwe, aby się takie rzeczy przyśniły.

Schodzą wszystkie pod swój mech, ale wielkie było zdumienie, gdy nikogo tu nie poznały. Wszędzie krzątają się jakieś inne Patalonki.

— Kim jesteście? — pytają te, które tu mieszkają.

— Wróciliśmy znad wielkiej wody — mówią przybysze.

— O — dziwią się stali mieszkańcy — wielka woda, słyszeliśmy o niej od pradziadków. Twierdzili nawet, że w ich czasach wiele Patalonków tam poleciało, ale słuch o nich zaginął. Minęło dużo czasu, my jesteśmy czwartym pokoleniem.

— Doprawdy, zdumiewające — dziwią się przybyłe Patalonki — dla nas to nie było tak długo, widocznie czas wam tu inaczej płynął aniżeli nam, rację miał zegarmistrz mówiąc, że każdy zegar odmierza swój własny czas.

— Ale chodźcie i rozgośćcie się u nas — mówią Patalonki mieszkające tu na stałe. — Zaraz zrobimy wam herbaty, rozprostujecie sobie skrzydła i nogi.

MY TEŻ MAMY DLA WAS NIESPODZIANKĘ

Zapada noc, a we wszystkich domach świeci się światło i pełno jest opowiadań i śpiewów. To wielkie wydarzenie w krainie Patalonków. W końcu rozmowy zeszły na temat, jak to powracając znad wielkiej wody Patalonki miały nową ideę, mianowicie chciały być koniecznie podobne do ludzi.

— Jacy są ci ludzie? — dopytywali się stali mieszkańcy tej krainy.

— Oni mają takie wielkie oczy — mówi Agnieszka.

— I takie wielkie nogi — dodaje ktoś inny.

Długo rozprawiano o ludziach i ich wielkich oczach i nogach.

— My też mamy dla was niespodziankę — mówią mieszkające tu Patalonki. — Chodźcie, pokażemy wam.

Wychodzą w ciemność i idą w kierunku stojącego na odludziu domku. Otwierają drzwi po cichu i pokazują palcami na coś siedzącego na dywanie.

— Co to jest? — dziwi się król Sinobrody zwany Słoneczkiem.

— Urodził nam się taki Patalonek — mówią one. — Ma dwa rzędy zębów i ogon. Jest już prawie dorosły, ale nic nie mówi, tylko mruczy. Poza tym ma piękne oczy i usta i kiedy się śmieje, robi się na świecie pogodnie.

Wszyscy się dziwią, że urodził się taki Patalonek. Podchodzą doń, dotykają palcami jego twarzy i włosów.

— Dziwny Patalonek — mówią — jak on się taki mógł urodzić? A co on je? — pytają zaciekawione.

— Je wszystko to, co my — odpowiadają tamte. — Najbardziej lubi ziemniaki.

Dziwny Patalonek przeciąga się i szczyrzy zęby. Wszystkimi wstrząsa dreszcz.

— Kiedy on się urodził? — pytają przybyli. Następują obliczenia.

— Okazuje się, że urodził się w tym samym czasie, gdy pokonałyśmy Czarodzieja — mówi jeden ze starszych Patalonków.

— Może on ma coś z tym Czarodziejem

wspólnego? — zastanawiają się wszystkie. —
A może on sam jest Czarodziejem?

Patalonki patrzą na niego ze zgrozą.

— Zapytajmy go — mówi Agnieszka.

Gustaw i inne Patalonki siadają obok niego
i pytają:

— Czy jesteś Czarodziejem?

On patrzy na nich swoimi pięknymi oczami
i się uśmiecha.

— On nie może być Czarodziejem — mówi
Agnieszka — widzę to w jego oczach i w uś-
miechu. Gdyby był Czarodziejem, miałby fał-
szywy uśmiech i chytre oczy. Ale na pewno
jest to sprawka Czarodzieja.

— Musimy go ratować — decyduje Gus-
taw — to mógłby być na pewno piękny chło-
piec.

Agnieszka bierze za rękę Gustawa, mówiąc:

— Dzielny jesteś, mój bracie — pójdę z tobą,
odczarujemy go, pójdziemy do Ropucha, on jest
taki mądry, w dodatku jest teraz szczęśliwy
z tą swoją Ropuchową.

TEGO ZROBIĆ NIE MOŻEMY

Patalonki przygotowują wszystkich troje do
podróży, a więc Agnieszkę, Gustawa i tego
dziwnego z ogonem. Kiedy zapinają plecaki,
Patalonki życzą im, aby rychło wrócili, przy-
gotują na ich cześć bogate przyjęcie.

Kiedy siedzą już na mchu, Gustaw patrzy
na gałęzie drzew i mówi:

— Nasza kraina jest mała, lubię takie wędrówki i niebezpieczne przygody.

— Ja też lubię — odpowiada Agnieszka. — Świat jest ciekawy i dobry, jeżeli my tacy jesteśmy.

Gustaw patrzy na nią, na jej grube warkocze, na śmiejące się oczy i mówi:

— Jesteś bardzo mądra, Agnieszko, i cieszę się, że możemy razem iść w ten świat. Wiesz, mam taką myśl, aby iść tak w ogóle w świat, tak jak się idzie w bajkach.

— Jesteś trochę śmieszny — mówi Agnieszka do Gustawa — w bajkach to sobie idą w świat, ale my żyjemy naprawdę.

— Zobaczmy, co na to powie Ropuch — zastanawia się Gustaw.

Idą w stronę leśniczówki, a za nimi z tyłu idzie ten dziwny z ogonem i dwoma rzędami zębów.

— Witajcie! — woła z daleka Ropuch. — Macie jeszcze kogoś trzeciego?

— Tak — mówi Gustaw — to jest dziwny Patalonek z ogonem i dwoma rzędami zębów; urodził się w tym czasie, gdy pokonałyśmy Czarodzieja.

Ropuch przygląda się tamtemu.

— On ma piękny uśmiech — rzecze Ropuch — takie śliczne oczy. Ale nic nie mówi — dziwi się. — Hm — zastanawia się.

— Hm — zastanawia się Ropuchowa.

— Hm — zastanawiają się żmije.

Wszyscy chcą pomóc Patalonkom.

— Nic chyba na to nie poradzimy — mówi

Ropuch — może zapytamy leśniczego, tak wiele wie i tak wiele widział.

Uradzono, że trzeba zapytać leśniczego.

Wychodzą wszyscy na dwór, a tam stoi już leśniczy i mówi:

— Słyszałem wasze rozmowy w piwnicy i znam wasze zmartwienie. — Patrzy przy tym na dziwnego Patalonka, zbliża do niego swoją twarz i mówi: — Można by do niego strzelić, ale wtedy zabijemy w nim to, co jest czarodziejskiego, i to, co jest piękne.

— Tego zrobić nie możemy — mówi Gustaw.

Leśniczy potwierdza to:

— To prawda, tego zrobić nie możemy. Nie znam innego sposobu — mówi leśniczy — przypuszczam, że nawet zegary wam nie pomogą. To jest bardzo trudna sprawa.

Dziwny Patalonek patrzy na wszystkich z wielką zadumą w oczach. Widać, że coś wie, ale nie potrafi powiedzieć. Chwilami wydaje się, że coś pokazuje, ale nikt na niego nie zwraca uwagi.

I TERAZ JUŻ WSZYSCY KIERUJĄ SIĘ W ŚWIAT

— Dokąd więc pójdziemy? — zastanawia się Gustaw. — Kto nam pomoże?

— Może pójdziemy w świat — proponuje Agnieszka.

Wszyscy patrzą na nią urzeczeni.

— Dobra nasza — mówi Ropuch — w świat, zupełnie jak w bajkach.

— Tylko weźmiemy torby! — woła Ropuchowa.

— I my też!

— Minutkę — krzyczą żmije.

Wszystkim się to bardzo podobało. Są ożywieni. Wreszcie żmije i sama Ropuchowa wychodzą z pełnymi torbami. I teraz już wszyscy kierują się w świat. Na czele idzie Ropuch, za nim Gustaw z Agnieszką i dziwny Patalonek, a na końcu Ropuchowa i żmije. Raz po raz przystają i zmieniają torby. Mijają lasy, rzeki i jeziora, bo okazuje się, że ten świat bajkowy jest zupełnie podobny do tego prawdziwego, w którym żyli dotąd. Nagle zobaczyli chatę pełną rozbójników. Rozbójnicy liczą pieniądze, a lampa naftowa świeci im żółto.

— Będziemy do nich mówić przez komin — mówi Ropuch i wsadza łeb do komina.

— Hi-ha — krzyczy — stara ma!

Rozbójnicy zrywają się na równe nogi.

— Nie ma! — krzyczą. — Nie ma!

— A właśnie, że ma — odpowiada Ropuch.

Rozbójnicy są coraz bardziej przerażeni, wreszcie dają przez okno i przez drzwi drapak, aż się za nimi kurzy.

Ropuch ma cały łeb czarny od sadzy, tak że trzeba go myć pod studnią. Żmije leją wodę z wiadra, a Agnieszka z Gustawem zmywają rękami sadzę z jego łba.

— Dobrze mi — mówi Ropuch — lubię, kiedy mnie tak myjecie.

— O jakiej starej mówiłeś? — pyta go Ropuchowa.





— Tak mi się powiedziało — mogłem powiedzieć cokolwiek innego.

— Ale oni cię od razu zrozumieli — dziwią się żmije.

— Oni chyba też myśleli o czym innym — mówi Ropuch.

KUPIMY SOBIE NOWĄ PIWNICĘ

Kiedy jego łeb jest już wymyty, to wszyscy po kolei wchodzą do jaskini zbójców. Żmije siadają na zimnej patelni, Ropuchowa na oknie, a Ropuch na środku izby przy wielkim worku z pieniędzmi.

— Ale pieniędzy — mówi Ropuch — pełen worek. Kupimy sobie za to z Ropuchową nową piwnicę.

— Całą leśniczówkę — woła Ropuchowa.

— Pół świata — dodaje rozpromieniony Ropuch.

— Cały świat! — śmieją się żmije. — A na tym świecie są rozbójnicy i ich kupcie również!

— E — krzywi się Ropuchowa — rozbójników nie chciałabym kupować, może tylko pół świata, a rozbójników zrzucilibyśmy do tej drugiej połowy.

— Tak zrobimy — cieszy się Ropuch.

Patalonki śmieją się do rozpuku.

— A od kogo kupicie te pół świata? — pyta ją tarzając się ze śmiechu.

— Od kupców — mówi Ropuch, a oczy jego robią się okrągłe ze zdumienia, że można zadać aż tak naiwne pytanie.

— Nigdy nie słyszałyśmy o takich kupcach — mówią żmije — a przecież już dużo wiemy.

— Wy jesteście bardzo mądre — mówią Ropuchowie — ale ci kupcy mieszkają daleko.

— Aa — dziwią się żmije.

Patalonki nie mogą się uspokoić. Ropuch wysypuje cały worek i rozdziela na jeden stos szeleszczące banknoty dla Ropuchowej, a na drugi dla siebie.

— A w której części my będziemy? — pytają Patalonki.

— W tej naszej — odpowiada Ropuch — razem z tym dziwnym ogonem.

— Jesteś dobry — mówią Patalonki do Ropucha — ale dziwne będzie to kupowanie, jesteśmy tego bardzo ciekawe.

— Zaraz idziemy do miasta — mówi Ropuch — żmije będą gotowały obiad, a wy będziecie pilnować, aby zbójcy was zdradziecko nie napadli.

Ropuch zaprzęga konie, kładzie na wóz worek z pieniędzmi, obok siada Ropuchowa i ucinając z bata, jadą drogą w gęsty las.

W DODATKU TEN WOREK SIĘ RUSZA

Mija czas. Żmije gotują kaszę, Patalonki siedzą na dachu i wypatrują, czy nie idą zbójcy, a poza tym świeci słońce, kwitną kwiaty i w ogóle jest dobrze na świecie.

Wreszcie Agnieszka woła przez komin do

żmij, że jadą, wiozą coś wielkiego. Rzeczywiście na horyzoncie widać już sylwetkę wozu, koni i Ropucha.

Ropuch śpiewa arię tak głośno, że aż las się chyli w drugą stronę.

— Kupili — piszczą żmije — kupili, Ropuch śpiewa swoją ulubioną arię.

Wnet wtacza się wóz, a za nim rozśpiewany Ropuch z Ropuchową, która trzyma lejce.

— Kupiliśmy — mówi Ropuchowa.

Wszyscy zaglądają na wóz, na którym leży worek i coś w nim.

— Nigdy nie myślałem, że można kupić świat w worku.

— Można, właśnie kupiliśmy i jeszcze kupiec postawił piwo za swoje pieniądze.

— Tak — mówi z tajemniczą miną Ropuchowa — dlatego Ropuch ma taki piękny głos.

— Czy to jest cały świat, czy też pół? — pyta Agnieszka. — W dodatku ten worek się rusza.

— Świat jest żywy — śmieje się Ropuch — dlatego się rusza.

— A czy on będzie zawsze w worku, czy tylko dziś? — pyta znów Agnieszka.

— Świat nie może być w worku — mówi Ropuch — zaraz go rozwiążemy.

Ściągają worek w dół i kiedy spadł na ziemię, coś strasznie beknęło.

— To coś jakby koza! — śmieją się żmije.

— To nic — mówi Ropuch — świat może się czasem zamienić w kozę, to nic dziwnego.

— Hm — dziwią się Patalonki.

— Hm — dziwią się żmije. — Dziwny to świat, dlaczego miałby się akurat zamienić w kozę?

— No, skoro beczy jak koza, to jest zupełnie jasne, że się w nią zamienił — udowadnia Ropuch.

Ropuchowa patrzy z wielkim podziwem na swego Ropucha, że taki mądry i wszystko wie. Wreszcie rozwiązują worek i z wielką furią wybiega z niego koza. Wszyscy patrzą na nią zdumieni.

— A do paralusza — mówi Ropuch. — Co to?!

— Koza — mówi jedna ze żmij.

— Widzę, że koza — odpowiada Ropuch — może w worku jest coś jeszcze.

Wszyscy zaglądają do worka, potem wywracają go na drugą stronę, ale okazuje się, że nic w nim nie ma.

— Trochę poczekamy — mówi Ropuch — na pewno wnet się odczaruje. Wszyscy siedzą wpatrzeni w stojącą niedaleko kozę, która ani myśli się odczarować.

— Z kupcami to tak zawsze — mówią żmije. — Ty jesteś za dobry, Ropuchu, tobie mogą zamiast pół świata sprzedać kozę, a ty nic złego o nich nie powiesz.

— My cię znamy dobrze, Ropuchu, i bardzo cię lubimy, ale więcej nie możesz sam jechać do miasta, będziesz jeździł zawsze z nami.

Ropuch patrzy na nich, potem na kozę i mówi:

— Więc on mnie oszukał? Nigdy bym tego nie powiedział.

— Trzeba teraz kozę uwiązać i ją wydoić — mówią żmije — najlepiej zrobi to Ropuchowa, mleko będzie potrzebne do kaszy.

Prowadzą bardzo zasmuconego Ropucha do izby, pocieszają go po drodze.

— Taki dobry kupiec — mruczy Ropuch — a sprzedał mi kozę zamiast połowy świata.

— Nie martw się — mówią Patalonki — przecież to nieważne, kto jest właścicielem świata, możesz na nim żyć spokojnie, masz swoją piwnicę i Ropuchową, masz swoje ciepłe i ciche wieczory, w które tak lubisz śpiewać arie, wreszcie masz nas, całą armię Patalonków, a tak prawdę mówiąc to jesteśmy sąsiadami.

Ropuch wyciera łzy, chlipie i patrzy żałośnie na żmije, na drewnianą łyżkę, na kozę stojącą przed nim i powoli, powoli się uspokaja.

Ropuchowa przynosi koziego mleka i zalewa nim kaszę. Jest zupełnie białe. Ropuch miesza drewnianą łyżką i bardzo mu teraz smakuje. Patalonki jedzą też po kilka ziarenek kaszy i ich brzuchy są prawie pękate. Ropuch potrzebuje więcej jedzenia niż Patalonki.

Po zjedzeniu kaszy zaprzęgnięto wóz i uwiązano kozę z tyłu i wszyscy ruszyli dalej w świat. Ropuch już sobie podśpiewywał, żmije szły leniwie, a chwilami gramoliły się na wóz i tam cicho leżały.

Nagle wjechali na wielką polanę pełną brzoź. Pod jedną brzozą siedziały trzy kobiety i przedły złote nici.

— Kim jesteście? — pytają ich Patalonki.

— Jesteśmy wróżkami i w naszych rękach są losy ludzi — odpowiadają one.

Wszyscy przyglądają się tym niciom, jak mienia się w rękach wrózek i między białymi brzozami.

— Aż oczy bołą od tego — mówi Ropuchowa — tyle nici, a tak mało wrózek.

— Wielu ludziom przeznaczony jest ten sam los — mówi jedna z wrózek.

Patalonki dotykają tych nici.

— Uważajcie, abyście ich nie zerwały — przestrzegają wróżki — bo to są losy ludzkie.

Patalonki uważają, aby nie stargać nici.

— Macie nić leśniczego? — pyta Gustaw.

Wróżka oddziela jedną drobną nić i mówi:

— To jest los leśniczego. Jest jeszcze bardzo długa i jego żony też.

— To dobrze — mówi Gustaw — bo gdyby nie on, to nigdy nie zdobylibyśmy czarnego ptaka.

— A macie nić kupca? — pyta Ropuch.

— Mamy — odpowiadają wróżki — oto ona, jest też bardzo długa.

— Dziwne — mówi Ropuch — że też tak różni ludzie mają tak samo długie nici swego losu.

— Dokąd idziecie? — pytają wróżki.

— Idziemy w świat — odpowiadają Patalonki — chcemy się dowiedzieć, jak odczarować tego Patalonka, czy ma piękne, uśmiech też, ale ma też i ogon, i dwa rzędy zębów.

Wróżki przyglądają mu się z zaciekawieniem.

— To sprawa Czarodzieja — mówią — kiedy byliśmy w jego służbie, zamienił nas w złote muchy ze srebrnymi dzwoneczkami, ale od czasu, jak został pokonany, wróciłyśmy na naszą polanę. Teraz jesteśmy szczęśliwe wśród tych białych brzóz. Nic wam poradzić nie możemy — mówią — myślimy, że to mógłby być on, bo jak słyszałyśmy, jest niezniszczalny.

— Czyżby tak było? — pytają Patalonki. — Czyżby tak było?! Dlaczego miałby się zamienić w Patalonka?

— Bo podobno pokonały go Patalonki, a on zamienia się zawsze w tego, kto jest najsilniejszy.

Wszyscy przyglądają się temu dziwnemu Patalonkowi, ale nikt nie wie, kim on jest i w jaki sposób mu pomóc.

— Może lew go rozpozna? — mówi Gustaw.

— Lew poszedł w swoje strony, na pustynię, i nie wiem, czy go znajdziecie — odpowiadają wróżki.

— A może wielka woda nam pomoże? — pyta zamyślona Agnieszka. — Ona była zawsze dla nas taka dobra.

— Wielka woda jest obojętna na wasze sprawy — odpowiada jedna z wróżek — a to

wszystko robiła dlatego, że była zamieszana w walkę z Czarodziejem.

— Dziękujemy wam, dobre wróżki — mówi Ropuch — życzymy, aby żadna nie zerwała się w waszych zręcznych rękach. Może tam w świecie spotkamy kogoś, kto będzie mógł nam pomóc.

Wróżki też życzyły naszym wędrowcom, aby im wszystko dobrze szło, a najważniejsze, aby nie musieli zabijać tego dziwnego Patalonka.

STRASZNY BYŁ FURKOT FARTUCHA ROPUCHOWEJ

Jadą więc dalej, Ropuch powożąc, a za nim Ropuchowa, żmije i Patalonki. Pod górkę schodzą z wozu, a z góry jadą sobie wspaniale. Mijają lasy, rzeki i jeziora. Nagle stają przed wielką szklaną górą. Naokoło niej ktoś chodzi, jakby człowiek, ale bardzo mały, nieco większy od Patalonków. Ten nieznajomy od czasu do czasu podnosi głowę i woła: „Ale upał, pewnie wnet się roztopisz!” — i klaszcze w ręce. Dość daleko od szklanej góry rosną brzozy, tak że jedynie z samego rana ich długie cienie sięgają podnóża góry.

— Dziwne — mówi Ropuch — to jakieś nieznane królestwo, nigdy nie słyszałem o takich mieszkańcach jak ten pod górą.

Podjeżdżają zupełnie blisko. I wtedy o mało co wszyscy by zginęli, ich odbicie bowiem było tak do złudzenia podobne do nich samych, że nie wiedzieli, czy to oni są naprawdę, czy też

tylko odbicie od szklanej góry. Kiedy tak wątpili, jedna z brzóz zaczęła w ich stronę kiwać mówiąc:

— Policzcie się i tych, których będzie więcej, to na pewno wasze odbicia.

Policzyli więc siebie i szczęśliwi podziękowali brzozie, że ich wybawiła z tak straszego kłopotu.

— Kim jesteście i skąd przychodzicie? — pyta ich nieznajomy.

Ropuch wszystko mu objaśnił, a na zakończenie chciał coś zaśpiewać, ale tamten mówi, że nie można tracić czasu, wszystko jest w rękach tych, którzy są na górze. Nasi wędrowcy nic z tego nie zrozumieli, ale tamten kazał im czym prędzej skierować konie w kierunku wierzchołka góry, potem wszyscy usiedli i pojechali. Po drodze dowiedzieli się z rozmowy z nieznajomym, że jest to królestwo Szklarków, a szklana góra jest dla nich całym światem. Od czasu do czasu jeden z nich schodzi na dół aż do jej podnóża i zastanawia się, czy istnieje jeszcze inny świat.

— Śmieszne — krzyczą Patalonki — czemu on się zastanawia, niech idzie na przykład w kierunku tych brzóz i już zobaczy inny świat.

— Hm — dziwi się Szklarek — to jak dotąd, nie przyszło nikomu z nas do głowy.

— Spróbujcie — mówią żmije — Patalonki mają rację, po co się tak bezsensownie nad tą szklaną górą zastanawiać.

Kiedy byli już w połowie góry, nagle jednemu z koni pośliznęło się kopyto i runął całym

swoim ciężarem, a za nim drugi koń, i wóz w szalonym tempie zaczął spadać w dół. Pierwszy spadł Ropuch, przeraźliwie wrzeszcząc:

— Ojjoj, nie wiedziałem, że tak ślisko!

Rozcapierzył swoje łapy, wybałuszył oczy, ale nic to nie pomogło, leciał ze szklanej góry szybciej niż najbardziej rozpędzony ekspres. Za nim Ropuchowa machała swoimi łapami w powietrzu, krzycząc:

— Ratunku, biją!

— Kto? — dopytywały się z tyłu żmije, które zakosami najlepiej sobie z tym spadaniem radziły. Patalonki płacząc trzymały się w gro-madzie, objęte wokół szyi.

— Co teraz będzie z nami — wołały — jak już się nigdzie nie zatrzymamy?

— Głupstwo — krzyczy Ropuch — czemu mielibyśmy się nie zatrzymać, przecież wszystko na to wskazuje, że w jakimś kierunku spadamy.

Straszny był furkot fartucha Ropuchowej, jeszcze straszniejszy gruby głos Ropucha, a szklana góra tak śliska, że i pyłek z niej zjechałby na dół.

Wreszcie zobaczyli pod sobą piasek i brzozy, i najgłośniejsz rozdarł się Ropuch:

— Ratunku! — wrzeszczy.

— Uważaj lepiej, abyś spadł na łapy — poucza go Szklarek — zamiast wrzeszczeć.

— To mi się nie podoba — mówi Ropuchowa.

— A na co mają spadać ci, którzy łap nie mają? — pytają żmije.

— Tego nie wiem — mówi Szklarek — bo

u nas wszyscy mają łapy, może wyście też je mieli, ale przez nieużywanie wam zanikły.

— To nie jest tak, jak myślisz, Szklarku — mówią żmije — myśmy nigdy łap nie miały.

Akurat rozmowa na temat łap dobiegała końca, gdy najcięższy Ropuch łupnął o ziemię, za nim w błyskawicznym tempie inni, a na końcu konie i wóz.

LEŻĄ WSZYSCY WYPROSTOWANI NA PIASKU I MRUCZĄ

— Żyjemy? — pyta po chwili Ropuch.

— Myślę, że żyjemy — odpowiadają żmije. — Ale musimy to sprawdzić — dodają.

— Zobaczymy, czy brzozy stoją za nami. — Oglądają się za siebie. — Stoją — mówią uradowane — te same kochane, białe brzozy. Więc żyjemy, hura!

— Coś mi jednak pękło w krzyżu — mówi Ropuch. — Przydałby się jakiś lekarz.

— Będzie bardzo trudno znaleźć lekarza, może same cię wyleczymy.

— Mnie też coś pękło — mówi Gustaw.

— I mnie! — woła jedna ze żmij.

— Wydaje mi się, że i mnie też — zastanawia się Szklarek.

To było jednak bardzo szybkie spadanie. Jedni drugim zaczęli zestawiać pęknięte kości i po pewnym czasie każdy oddychał z ulgą, bo już teraz nic mu nie dokuczało. Leżą wszyscy wyprostowani na piasku i mruczą z zadowoleniem. Mruczą i mruczą, aż cała szklana góra

się trzęsie. Konie też stoją zdrowe i wóz jest cały, choć zjeżdżał z góry po kawałku. Słońce oświeśla ich oczy tak samo jak brzozy. Wszystkim jest teraz dobrze i ze śmiechem wspominają, jak to się jechało ze szklanej góry i jak Ropuch krzyczał: Ratunku!

— Kto miałby cię ratować, Ropuchu? — pytają Patalonki.

— Ten, kto stałby na dole, podłożyłby koc albo coś miękkiego — objaśnia Ropuch poważnie.

Śmiechom nie było końca i z tego koca, i z tego czegoś miękkiego.

— Wtedy każdy chciałby spadać ze szklanej góry — mówią żmije.

— Wszystko jest takie skomplikowane — mówi Ropuch — że aż ciężko o tym myśleć.

— Po co więc myśleć — mówią żmije — wystarczy oczy zamknąć i nic nie mówić.

Takie toczyły się rozmowy pod szklaną górą.

STOJĄ NA SKRAJU GÓRY ZDUMIENI I OCZOM NIE WIERZĄ

— Trzeba nam będzie teraz inaczej to zrobić — mówi Szklarek. — Rozpędzimy się aż od tamtych brzóz, tak aby w mgnieniu oka być na górze. Tak też czynią.

Rozpędzają się od samych brzóz i galopem wjeżdżają na szklaną górę. Są już blisko wierzchołka, gdy spada im jedno koło i toczy się z szaloną szybkością w dół.

— Nie wjedziemy na trzech kołach — mówi Szklarek — trzeba koniecznie czterech.

Kładą się więc wszyscy w załomie szklanym razem z końmi i wozem, a Szklarek zsuwa się po koło. Wnet jedzie na tym kole w górę, aż furkocze, i cały jest roześmiany od ucha do ucha. Kiedy już były cztery koła, wszyscy wchodzą na wóz i jadą na górę. Stają na jej skraju zdumieni i oczom nie wierzą.

— Takie cuda! — mówią Ropuch z Ropuchową.

— Takie cuda! — powtarzają Patalonki.

Na szklanej górze stał zamek ze słońca, a wokół niego chaty z księżyca. Okna były z kwiatów, a bramy ze złotej przędzy. Na dachach wspierało się niebo i wszystko było jednym pięknym krajobrazem. Nigdzie nikogo nie było.

— Jak tu cudownie! — mówi Agnieszka — czuję się tu zupełnie inaczej, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że taka kraina istnieje.

— Między zamkiem a skrajem szklanej góry jest tęcza wielobarwna, z której sypie się złoty i diamentowy piasek. Jest cicho. Nagle dziwny Patalonek śmieje się tak strasznie i nawet w oczach widać złe błyski. Zaczyna okropnie śmierdzieć i pędzi prosto do zamku. Na środku stoi komin, w którym słychać głucho szamotanie się i jęki. Nawet tęcza przygasła.

— Trzeba mu pomóc — mówi Szklarek — tam dzieje się coś strasznego.

— Ty nie wiesz wszystkiego o Czarodzieju —

mówi Gustaw — to są bardzo skomplikowane dzieje.

Kiedy tak sobie rozmawiają, z komina wychyla się głowa tamtego Patalonka cała sina. Potem znika. Nagle rumor ustaje, wszędzie robi się znowu pięknie, a ulice są wyłożone gwiazdami. Nasi wędrowcy zbliżają się do zamku, z którego wychodzi tamten Patalonek bez ogona, z jednym rzędem zębów cały roześmiany.

— Co się tu działo? — pyta go Agnieszka.

— Wszystko już dobrze — mówi tamten — teraz możecie wejść do zamku, czekają na was.

SZKLARKI

Wchodzą. Komnaty są lustrzane i obramowane srebrem, a w środku stoją Szklarki w kolorowych spodniach i koszulach z białego lnu. Witają Ropucha, Ropuchową, żmije i Patalonków i sadzają ich za stołem mówiąc:

— Przygotowaliśmy dla was przyjęcie, zaraz otrzymacie słodki placek i wiśnie.

— Bardzo to lubimy — mówią Patalonki i biorą z rąk Szklarków placek i wiśnie.

Wszystko położone jest na złotych i srebrnych tacach, a wokół unosi się delikatna, ledwie widoczna mgła. Gustaw z Agnieszką zbierają okruszyny bardzo skłódkie i się nimi zajadają.

— Dobrze — mówią do Szklarków — bardzo

dobrze, nigdy nie mieliśmy w ustach takiej słodyczy.

Palce kleją im się od tego cukru, a wokół ich rąk również unosi się mgła. Ropuch jest w swoim żywiole.

— Wy, Szklarki, dziwnie sobie mieszkacie — mówi. — Kto to widział mieszkać na szklanej górze?

— A ty gdzie mieszkasz?

— Ja w piwnicy leśniczówki — odpowiada Ropuch — a żmije w ogrodzie zaraz obok, jesteśmy sąsiadami — wskazuje na siedzące przy nim żmije. — Patalonki mają swoje królestwo w niedalekim lesie, tak że właściwie też jesteśmy sąsiadami.

— Interesujące — kiwają głowami Szklarki — na pewno byliście dobrymi sąsiadami, skoro razem wyruszyliście w świat.

Ropuch rozwodzi się nad tym, jakimi wspinałymi byli sąsiadami i w ogóle, jak sobie pięknie mieszkają.

Szklarki kiwają głowami z podziwem nad jego piękną wymową.

— My też pięknie mieszkamy — mówią — chodźcie, oprowadzimy was po naszym zamku, to sami zobaczycie.

Szklarki idą przodem, a za nimi Ropuch z Ropuchową, żmije i Patalonki.

Niektóre komnaty były śniegowe, iskrzyły, gdy się na nie patrzyło, inne zaś wyłożone kwiatami jaśminu, a jeszcze inne złotą przędzą albo księżycową, a pomiędzy wielkimi kolumnami unosiła się delikatna mgła.

— Jak tu pięknie — mówią co chwila Ropuch, Ropuchowa, żmije i Patalonki. — Jak tu pięknie! Prawie tak jak w mojej piwnicy — dodaje Ropuch.

— Chętnie zobaczymy twoją piwnicę — mówi Szklarki — może się tam wybierzemy.

— Ale u nas nie ma ani filarów, ani mgły, ani takich komnat — mówi zakłopotana Ropuchowa.

Wtedy Ropuch unosi się gniewem, wypina brzuch do przodu i mówi:

— Ty się wstydzisz swojej piwnicy, mamy tam za to ziemniaki, okno i szpary w podłodze leśniczówki.

Żmije skręcają się niepewnie i patrzą spode łba na Szklarki. Jakiś wstyd ich ogarnia przy tych słowach Ropucha.

— Przecież co innego piwnica, a co innego zamek — cicho mówi Ropuchowi na ucho jedna ze żmij.

Szklarki rozmawiają żywo między sobą na temat Ropuchowej piwnicy, w ogóle to podziwiają ją i wyrażają chęć jej poznania. Wreszcie włączają się do rozmowy Patalonki.

— Przecież twoja piwnica, Ropuchu, to jedynie zakątek mniej ważny, a w ogóle to nas otacza las, pokażemy Szklarkom las, ten jest równie piękny jak ich i na pewno będą zachwycone.

Ropuch nie może się uspokoić, że jego piwnica, w której żył tyle lat, jest tak mało ważna. Chodzi naburmuszony, mówiąc:

— Wy nic nie wiecie, myślałem, że mam

lepszyc sąsiadów, jedynie Szklarki są zachwycone moją piwnicą, choć znają ją tylko z mojego opowiadania. Szklarki są wspaniałe, zresztą świadczy o tym ich kraina, w której żyją, nie mógłby tu żyć nikt podły. A wy gardzicie moją piwnicą, nawet ty, Ropuchowo; gdyby moja pierwsza żona żyła, nigdy by się tak nie zachowała. — Na myśl o pierwszej żonie Ropuch zalewa się łzami.

Szklarki, Patalonki i żmije uspokajają Ropucha.

— On bardzo lubi muzykę i śpiew — mówią Patalonki.

Zaraz też Szklarki ustawiają orkiestrę dętą, która tak dmuchnęła w swoje instrumenty, że niektóre się wyprostowały i zrobiły bardzo cienkie. Zagrali najpierw hymn Szklarków, a potem taniec brzóz, który tak rozrzewnił wszystkich, że prawie płakali. Na koniec był taniec złotych gór, który sprawił, że Ropuch poweselał i już teraz patrzył na świat zupełnie innymi oczyma. Na znak, że wszystko jest dobrze, Szklarki przyniosły w cynowych kubkach miodu i każdy wziął ów kubek, i wychylił do dna. Nawet dno zaproszone było mgłą, taka piękna była kraina Szklarków.

Po poczęstunku miodem wszyscy ruszyli na zwiedzanie dalszych części zamku. W jednej z komnat była marmurowa figurka małego Szklarka i mrugała do nich oczyma. Ropuch też zamrugał do figurki Szklarka i wzbudziło to taki śmiech, że cały zamek się trząsł.

Po drodze toczyły się rozmowy.

— Jesteście takie pogodne, jak wasza kraina — mówi Gustaw — nie może zresztą być inaczej.

Szklarki uśmiechają się i jest im bardzo przyjemnie usłyszeć, że Patalonki tak dobrze o nich mówią.

Szklarki rzeczywiście są niezwykle delikatne i w oczach ich, i w uśmiechu widać pogodę i zadowolenie. Mają piękne dłonie, zwłaszcza kobiety, i usta, i kiedy się uśmiechają, widać perłowe zęby. Kobiety Szklarków noszą haftowane bluzki, a na szyi bursztynowe paciorki. Mają długie włosy, a kiedy mówią, robi się przyjemnie na duszy. I Ropuch, i wszyscy nasi wędrowcy bardzo lubią słuchać, gdy mówią kobiety Szklarków. Są one takie dobre, że wtedy, gdy nie mówią, chcą też, aby naszym gościom było jak najlepiej, podają im więc cynowe kubki napełnione po brzegi miodem. A nasi wędrowcy wypijają ten miód, że zostaje jedynie na dnie trochę mgły.

— Piękna jest wasza kraina — mówią Patalonki. — Czy nic was nigdy nie smuci? — pytają Szklarków.

— Co to znaczy: smuci? — zastanawiają się Szklarki. — Nigdy nie słyszałyśmy tego słowa.

— No, kiedy umieracie albo kiedy przyjdzie do was złośliwy Czarodziej — mówią dalej Patalonki.

— Nie rozumiemy tych słów — mówią Szklarki — co to znaczy: umieracie albo zło-

śliwy Czarodziej, nigdy o niczym takim nie słyszałyśmy.

— Teraz wszystko rozumiem — woła Ropuch — więc musieliśmy trafić w taką czystą krainę, aby nasz dziwny Patalonek mógł się pozbyć ogona i drugiego rzędu zębów. To było naturalne oczyszczenie.

— Czy słyszałyście dziś jakieś grzmoty w waszym zamku? — pyta Ropuch.

— Tak — odpowiadają Szklarki — ale nikt z nas nie wiedział, co to jest, myślałyśmy, że to ktoś jedzie do nas w gościnę i wtedy zobaczyłyśmy was, sądziłyśmy więc, że to wy tak jedziecie.

— Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że istnieje taka kraina — mówi Ropuch. — Nawet ściany waszego zamku mają w sobie coś z uroku kwiatów i kiedy na nie patrzę, czuję przyjemność w sercu.

— My też to odczuwamy — mówią Patalonki — i widzimy, że prawdą jest, że jaki kraj, tacy w nim mieszkańcy. Nie ma u was ani kwiatów, ani łąki, ani lasu, nic tu nie rośnie.

— Tylko niektóre z nas widziały las — mówi Szklarki — to jest naturalne, że na szklanej górze nie ma ani kwiatów, ani łąki, ani lasu. To jest zupełnie naturalne — dodają — a Patalonki, Ropuch z Ropuchową i żmije kiwają głowami ze zrozumieniem.

**CZY WŚRÓD WAS SĄ PIEKIELNICY? —
DZIWI SIĘ ROPUCHOWA**

Kiedy wyszli na skraj góry, widać stąd było inną górę, a Patalonki pytają się Szklarków, co tam jest?

— To jest druga kraina, naszych sąsiadów Piekielników.

— Co oni tam robią? — pyta Ropuch.

— Tylko się kłóć, wrzeszczą na siebie, biją się i mordują. Ich kraj jest z czarnego kamienia — dodają Szklarki.

— Czy nie ma tam żadnego dobrego Piekielnika?

— Nie — odpowiadają. — Jeżeli ktoś różni się od nich, od razu go zabijają.

— Czy macie ochotę tam iść? — pyta naszych wędrowców Ropuch.

— Wiesz — mówi Gustaw — poczulibyśmy się tak samo źli jak Piekielnicy, to byłoby bardzo ciężkie przeżycie dla nas. Dziwne, że takie dwie krainy sąsiadują ze sobą.

— Czy słyhać aż tu ich wrzaski? — pyta Ropuch.

— Nie, nie słyszymy ich wrzasków, ale zdarza się, że jakiś wygnany Piekielnik wszystko nam opowie.

— Czy wśród was są więc Piekielnicy? — dziwi się Ropuchowa.

— O, bardzo wielu — mówią Szklarki — ale u nas zupełnie się zmieniają i teraz są do nas podobni, tak że tylko my jeszcze rozpoznajemy, kto był kiedyś Piekielnikiem.

— Jestem bardzo ciekawy tej krainy — mówi Ropuch. — Chodźmy tam.

— Ropuch jest jak dziecko — mówi Gustaw — ale nie możemy go tam puścić samego.

— Zwiążemy was linami, a potem wystrzelimy z naszych drewnianych dział — mówią Szklarki i śmieją się do nich.

— Nic nie jest dla mnie straszne, odkąd poznałem Szklarków! — woła Ropuch z roześmianą od ucha do ucha gębą. — Nic nie jest dla mnie straszne — powtarza, a biała piana wianuszkami otacza jego pysk.

NAGLE WSZYSCY WYPADAJĄ Z CHMUR

Byli już załadowani w drewniane działa i związani grubymi linami, a Ropuch jeszcze woła:

— Jak będę wrzeszczał, to mocno ciągnijcie.

— Nie usłyszysz cię, Ropuchu — mówią Szklarki — musisz do nas napisać list.

Dają Ropuchowi do ręki pióro, białą kartkę papieru i kopertę zaadresowaną tak: „Szklarki, Szklana Góra”.

— A komu mam dać ten list? — pyta Ropuch, ale nie zdążył tego pytania skończyć, gdy nastąpiły wystrzały i wszyscy nasi wędrowcy znaleźli się w powietrzu.

— Dobrze się leci — mówi Ropuchowa — nie mogę zapomnieć tej pięknej krainy Szklarków.

— Nikt nie może jej zapomnieć — mówi z przekonaniem Ropuch — to jest najpiękniejsza kraina, jaka tylko może istnieć.

— Czułabym się bardzo niepewnie — dodaje Agnieszka — gdybyśmy nie byli przywiązani linami do krainy Szklarków.

— Liny opasują niebo swym złotem — śmieje się Gustaw. — Nawet ich liny są ze złota — dodaje.

Wszyscy dotykają końcami palców liny, która wiąże ich w pasie, a palce i całe dłonie robią się od tego również złote. Patrzą na siebie i śmieją się.

— Szklarki — szepczą — jesteśmy z ich światem związani złotymi linami.

Wszyscy pędzą z zawrotną szybkością, ale nie odczuwają z tego powodu żadnych sensacji.

Rozbawiony Ropuch krzyczy:

— Chmury zasłaniają mi tych Piekiełników.

Nagle wszyscy wypadają z chmur, a tuż przed ich oczyma roztacza się prawdziwe Piekło. Żywy ogień bucha w niebo ze środka góry, wokół stoją szalasy z zeschniętej gliny i jacyś dziwni mieszkańcy siedzą, kołysząc się, gardłowymi głosami coś krzyczą, wygląda to na śpiew.

— Piekiełnicy — szepcze przerażona Agnieszka. Ścisną obiema rękami złotą linę.

Oczy Piekiełników błyskają tak strasznie, że kiedy dłużej ich spojrzenie spocznie na kamieniu, ten rozpada się na wiele części.

**TYMCZASEM PIEKIELNICY ZAUWAŻYLI,
ŻE KTOŚ SPADŁ DO ICH KRAINY**

Nasi wędrowcy spadają w krainę Piekielników jeden za drugim. Spadli między dwie skały zupełnie czarne i bardzo ostre.

— Żyjecie? — szepcze Ropuch.

— Żyjemy — mówią Patalonki — ale jak tu strasznie! Wracajmy, Ropuchu, napisz szybko list do Szklarków, aby ciągnęli za liny.

— Wszystko przygotowałem — mówi Ropuch. — Jeżeli tylko zaczną się kłopoty, od razu piszę list.

Tymczasem Piekielnicy zauważyli, że ktoś spadł do ich krainy. Najpierw znaleźli złote powrozy, które przecięli siekierami. Nasi wędrowcy poczuli jakieś targnięcie, ale nie zaniepokoiili się tym. Potem Piekielnicy okrążyli skały, w które spadli przybysze. Wysunęli z załomów swoje twarze. To było straszne.

— Ratunku! — wrzasnęła Agnieszka i zemdlała.

Zaraz potem zemdlała Ropuchowa, a Ropuch, żmije i Gustaw, i trzeci Patalonek zasłaniają sobie oczy. Nie mogą patrzeć w tamtą stronę. Najstraszniejsze były oczy Piekielników, ziały pustką i beznadziejnością, i ogień ich był tak zimny, że wszyscy dygotali na całym ciele. Palce rąk i nóg mieli zakrzywione i zakończone pazurami. Pazury u niektórych owinięte były dookoła głazów. Taki Piekielnik z daleka mógł przypominać zadżumiony krzak głogu

albo chorego na czarną ospę. Niektórzy wykrzywiali swoje twarze, może to miał być uśmiech.

— Skąd jesteście? — chrypią Piekielnicy.

Ropuch z Gustawem i żmijami mają pełne ręce roboty: muszą budzić z omdlenia Ropuchową i Agnieszkę. Kiedy tamte otwierają oczy, dygoczą całe.

— Ropuchu, pisz list! — woła Ropuchową.

Ropuch drżącą łapą pisze list i adresuje go: „Szlarkki, Szklana Góra”. Daje go w dziób jakiemuś ptakowi, który akurat leciał w tamtą stronę.

— Jeszcze chwilę — mówi do Ropuchowej — zaraz zaczną ciągnąć.

— Nikt was nie będzie ciągnął — mówią Piekielnicy — odcięliśmy liny siekierami.

I pokazują ostrza siekier, na których widać jeszcze odbłask złota.

— Koniec z nami, oni nas zjedzą — mówią żmije.

Wszyscy zalewają się łzami.

— Tego nie wiadomo — mówią Piekielnicy. — Nie jemy każdego plugastwa, posmakujemy najpierw tego małego — i wyciągają pazury w kierunku Gustawa.

— Ratujcie mnie! — wrzeszczy Gustaw i trzyma się skały.

Ropuch i wszyscy inni uwiesili się Gustawa.

— Nie — mówią Piekielnicy — wszystkich was nie chcemy, tylko tego małego robaczka, zobaczymy, jak on smakuje.

— Co? — krzyczy Gustaw. — Zaraz wam

dam robaczka! — I pluje Piekielnikom prosto w oczy.

— Co on robi? — dziwią się — on coś mówi i razem ze słowami wylatuje mu ślina. — Dziwne — mówią Piekielnicy — to są bardzo pocieszne figurki, weźmiemy ich do cyrku i będziemy je przypalać gorącym żelazem.

Biorą naszych wędrowców do żelaznej klatki, nad nią umieszczają napis „Cyrk” i obchodzą z nimi po całej krainie. Ropuch drze się i stroi miny, a Piekielnicy dobrze się bawią.

Czego oni nie przeżyli, czego nie widzieli, trudno opowiedzieć. Wszyscy mieli popałamane pięty i ślady różgi na plecach, a Ropuchowa i trzeci Patalonek dostali jakichś nerwowych tików, tak że głowy poruszały się bez ich woli.

DZIŚ W NOCY UCIEKAMY

Piekielnicy byli niżsi od Szklarków i silniejsi, obrośnięci sierścią, nosili długie włosy. Nienawidzili się. Wciąż wybuchały tu kłótnie i walki. Zabitego Piekielnika łatwo było zobaczyć na każdej drodze o każdej porze dnia. Sami nie mogli patrzeć na swoją brzydotę i dlatego płonęli tak wielką nienawiścią. Najchętniej wczepiali się we włosy i pluli sobie w oczy.

Kiedyś Ropuch, gdy wieźli ich klatkę, kopnął Ropuchową. Patalonki patrzą na niego zdumione.

— Coś ty zrobił? — pyta Agnieszka.

— Ona jest taka paskudna! — mówi Ropuch.

Ropuchowa skulona siedzi w kącie klatki i płacze. Jej gładka skóra jest taka jak przedtem, jej oczy wymyte przez łzy są wielkie, powinny się Ropuchowi podobać jak dawniej.

— Coś się z nim stało — mówi Gustaw.

— Ropuchu, opamiętaj się! — mówią żmije. — To jest twoja żona, przypomnij sobie piwnicę.

— Nic mnie to nie obchodzi — mówi Ropuch — i ta zgniła piwnica, i wy wszyscy.

— On oszalał — mówi Agnieszka.

— Nie — odpowiada Gustaw — to trucizna tej krainy tak na niego działa. I my wnet będziemy tacy.

Piekielnicy zaglądają do środka i słuchają tych słów.

— Ostatni czas, aby się ratować — mówi Gustaw. — Dziś w nocy uciekamy, choćbyśmy zębami mieli przegryźć kraty tej klatki. A Ropucha odratujemy. Działanie tej trucizny nie przesiąkło jeszcze przez niego całego.

W nocy, kiedy Piekielnicy leżeli wokół ogniska i zasypiali, Agnieszka przedostała się przez dziurkę od klucza i przyniosła piłę. Ropuch z Ropuchową piłują i klną, tak jak to robią Piekielnicy.

— O rety! — mówi Gustaw. — Jeszcze parę dni, a byśmy się w tej klatce pozabijali. Okrutna jest to kraina, ciekawe, jaką ma legendę.

— Słyszałem — mówi Ropuch — jak sobie opowiadali Piekielnicy; kiedyś dawno żył tu

smok, który zbuntował się przeciwko całemu światu i z nadmiaru pychy zdechł. Miał on w sobie tyle jadu, że z niego zrodzili się Piekelnicy, którzy są skazani na zagładę podobnie jak ci, którzy znajdują się w ich krainie.

Słuchając tej strasznej legendy wszyscy zaczęli dygotać z przerażenia.

Wreszcie kraty pękły.

Wychodzą cicho stąpając niemal tuż obok głów Piekelników. Zostawiają za sobą kotły pełne smoły, narzędzia tortur, wyrzutnie rakietowe i spaloną skałę, na której nic nigdy nie urośnie i nie rośnie.

Są już na skraju skały i patrzą w dół.

— Widzicie coś? — mówi Ropuch.

— Nic — odpowiadają pozostali. — Ta skała nie ma końca.

— Już się stąd nie wydostaniemy — mówią żmije.

— Czy możecie się wydłużyć? — pyta Ropuch.

— Możemy — mówią żmije. — Ale nie bez końca.

— Nic nie mówcie — dodaje on — niech jedna zaczepi ogonem za skałę i my powoli zjeździemy po niej, a potem druga zaczepi się tamtej za łeb.

Zjeżdżają po żmijach, gdy nagle ta ostatnia mówi:

— Już dalej nie mogę, a końca nie widać.

— Nie widać, bo jest noc — mówi Ropuch — ale ja już czuję pod nogami ziemię.

We wszystkich wstępuje nowa siła.

— Czujesz, Ropuchu, naprawdę? — dopytuje się Agnieszka.

— Skaczcie! — mówi Ropuch.

Zamykają oczy i skaczą. Tuż pod nimi był mech i zielona trawa. Wszyscy się w tym mchu i trawie łatwo poodnajdywali i teraz czekają na nadejście ranka.

O MAŁO NIE OMDLAŁEM ZE STRACHU

— Gdzie jesteśmy? — zastanawiają się.

— Może niedaleko leśniczówki? — mówi Ropuch.

— Ropuchu! — woła Ropuchowa — jesteś taki jak dawniej.

Obejmują się wszyscy i cieszą się z tego, że udało im się ująć z krainy Piekielników, a najwięcej z tego, że ta trucizna nie zostawiła na nich śladu. Nikt nie wspomina, co Ropuch zrobił Ropuchowej, tam był inny świat i bez sensu byłoby to przypominać. Patalonki są takie małe, że chwilami Ropuch w ogóle ich nie widzi.

— Jesteście tu? — woła.

— Jesteśmy — odpowiadają Patalonki.

Podchodzą bliżej do Ropucha i gładzą go pod brodą, co bardzo lubi i mruczy z zadowoleniem.

— Dobrze, żeśmy skończyli z tymi Piekielnikami — mówi pewny siebie.

Żmije śmieją się.

— Jesteś zawsze taki ważny, Ropuchu — mówią — ale myśmy przecież uciekli.

— To nic — uspokaja Ropuch — ale o mało nie omdlałem ze strachu mijając tych śpiących przy ognisku Piekielników, byliśmy bardzo dzielni.

— Takich dzielnych wędrowców nie zawsze się spotyka — mówią żmije, na pół śmiejąc się i ciesząc.

— Gdyby nie wy, trudno byłoby nam zejść z tych czarnych skał — mówi Ropuchowa.

I tak rozmawiając siedzą w mchu, nie wiedząc nic o okolicy, ponieważ jest bardzo ciemno.

CHODŹCIE ZA MNĄ

W końcu zaczęli się przechwalać. Patalonki mówią, że wystarczy im spojrzeć w niebo, aby tam zaświeciły gwiazdy. Ropuch z Ropuchową mówią, że mają takie piękne głosy, że żaden ptak im nie dorówna, a żmije mówią, że potrafią się tak wyciągnąć, że nie widzą swojego ogona. Kiedy tak się przechwalają, ktoś z ciemności mówi:

— Takich dzielnych akurat potrzebuję, idę rozprawić się z moim bratem, który ukradł mi pół krainy. Chodźcie za mną.

Nie było rady; musieli iść za nieznajomym, ponieważ nie chcieli się okazać tchórzami.

Kiedy wyszli z nocy, przed nimi stoi lew i się śmieje. Niedaleko jest leśniczówka i las, w którym żyją spokojnie i szczęśliwie Patalonki.

— A to ty, lwie — mówi Ropuch — myśle-

liśmy, że przyjdzie nam drogo zapłacić za nasze przechwałki.

Wszyscy ucałowali się z lwem, a kiedy przyszła kolej na Agnieszkę, gruba i gorąca grzywa lwa przykryła ją całą i Agnieszka czuła się szczęśliwa. Obejmowała swoimi drobnymi rękami szeroką głowę lwa i śmiejąc się całowała go wiele razy. Lew cały się rozczulił i grube łzy spadły z jego oczu na piasek.

— Szedłem tedy przypadkiem — mówił — kiedy usłyszałem rozmowę, przystanąłem więc i przysłuchiwałem się wam.

Lew opowiadał teraz o swoim życiu, o swoich przyjaciółach.

— Mam wielu znajomych — mówi lew — ale przyjaźnię się tylko z jedną mrówką. Przychodzi do mnie co rano i prowadzimy ze sobą długie rozmowy. Ta mrówka jest już stara i często narzeka na różne choroby, ale ja ją zawsze pocieszam. Lubi siadać mi na ucho i wtedy rozpędzamy się po całej pustyni, ja galopem, a ona siedzi na moim uchu. Bardzo się z tą mrówką lubimy; nawet gdy kładę się spać, myślę często o niej.

— Dziwne — mówi Ropuch — że też akurat musiałeś się zaprzyjaźnić z mrówką, masz przecież tyle większych zwierząt.

— To różnie z tą przyjaźnią bywa — mówi lew.

Wszyscy wyciągają nogi przed siebie i leżą w zamyśleniu, widocznie dumają nad ostatnim zdaniem wypowiedzianym przez lwa.

— Pewnie cię pożegnamy — mówi Ro-

puch — w końcu pustynia nie jest tak daleko, możemy się odwiedzać.

— Oczywiście, że możemy — mówi lew. — Zaraz dziś opowiem mrówce o was, ona wprowadzi was z moich poprzednich opowiadań, ale nie wie jeszcze, że byliście w krainie Szklarków i Piekielników.

Wszyscy życzą lwu dobrej drogi, a sami idą do swojego domu.

JESTEŚMY ZNÓW WŚRÓD SWOICH

Patalonki wracają do swojej krainy. Pierwszy zobaczył ich ojciec, wielki Patalonek, cisnął siekierę i pobiegł im naprzeciw.

— Jesteście! — mówi wzruszony i nie wie, kogo ma brać na ręce najpierw — Agnieszkę czy Gustawa. Jeden warkocz Agnieszki leży na jego ramieniu, a jedna jej ręka obejmuje jego szorstką, mocną szyję. Gustaw trzyma wielką, ciężką rękę ojca. Są szczęśliwi.

— Jak to się dziwnie zdarzyło — mówi ojciec. — Dziś śniłem o was i opowiadałem matce z samego rana ten sen, ale nie wiem, czy go jeszcze pamięta, ja już zapomniałem. Wiele tu o was mówi się w naszej krainie, cieszę się, że należycie do naszej rodziny. Będziecie musieli iść do wielu Patalonków i opowiadać im, co was w świecie spotkało.

— Zrobimy to — mówi Gustaw, a oczy mu się śmieją, a policzki są całe czerwone. — Jesteśmy znów wśród swoich. Zaprzyjaźniliś-

my się z Ropuchem, ze żmijami, z lwem i ze Szklarkami, ale to nie to, co w domu, tu oddycham zupełnie inaczej, wiem nawet, co inne Patalonki myślą, czuję to, co one, nic nas nie dzieli, nie muszę nic mówić, tylko być tu i patrzeć, jak się krzątają, jak mnie mijają, jak wchodzą i wychodzą ze swoich domów.

— To się czuje — mówi ojciec.

Podchodzi też do nich ten trzeci Patalonek.

Ojciec patrzy na niego, mówiąc:

— Żyjesz, nie byłeś więc Czarodziejem?

— Nie — uśmiecha się tamten Patalonek, a jego usta są gorące i piękne. Oczywiście. Robi się miło na sercu, patrząc na jego uśmiech i na ten wzrok.

— A co to było? — pyta ojciec.

— To była ostatnia zemsta Czarodzieja — mówi Gustaw. — Miał już bardzo niewiele mocy i zniekształcił go, sądząc, że go zabijemy; wtedy on, Czarodziej, mógłby się znów odrodzić.

— Dobrze — mówi ojciec — dobrze, dali-
byśmy nad sobą władzę temu Czarodziejowi,
zabijając tego biednego Patalonka.

— Nie jestem taki biedny — mówi tamten.

— Ale byłeś w śmiertelnym niebezpieczeń-
stwie — mówi ojciec — nie wiedziałeś nawet
o tym.

— Nie wiedziałem — odpowiada Patalonek
i zbliża się do ręki ojca. — Nie znam swoich
rodziców.

— Oni cię porzucili — mówi ojciec — bali
się zemsty wszystkich Patalonków.

— Chciałbym ich odszukać — prosi Patalonek.

— Dobrze — odpowiada ojciec — ja ich znam, zaraz tam pójdziemy.

Minęli kilka ulic i stają przed niewielkim szarym domem.

Drzwi otwierają się i wychodzi piękna Patalonkowa. Patrzy niepewnie na chłopca, potem na Agnieszkę, Gustawa i ojca.

— To on — mówi cicho — tak, to on.

Siada na progu i chowa twarz w dłoniach.

Mały Patalonek podchodzi do niej, siada obok i patrzy na jej ręce, twarz, na długie ciemne włosy.

— Jesteś piękna, mamó — mówi — to sprawa Czarodzieja, nie twoja. Weź już twarz z tych dłoni, opowiem ci o pięknej krainie Szklarków.

Młody Patalonek opowiada tak pięknie, że że wydaje się, iż to oni są w krainie Szklarków. Wokół nich urósł cały tłum Patalonków. Przychodzili nawet z daleka, bo wieść o jego opowieści migiem rozniosła się po całej krainie.

W pewnym momencie wyjmuje złotą nić z kieszeni, mówiąc:

— Takim złotym powrozem byliśmy przywiązani, gdy nas wystrzelili w kierunku krainy Piekielników.

Podają sobie z rąk do rąk tę złotą nić i patrzą znów na niego, aby opowiadał o tamtej krainie Szklarków. Jego ojciec siedzi razem z innymi poniżej schodów i nie śmie spojrzeć mu w oczy.

— Nie lękaj się, ojczy — uspokaja w pewnej chwili — to była sprawa Czarodzieja, nie mogliście tu nic pomóc.

Ojciec podnosi powoli wzrok i oczy ich spotykają się.

— Nie myślałem, aby to kiedyś nastąpiło — mówi Gustaw — widzę w tym rękę Szklarków.

— Ile dziwów jest na świecie! — wzdycha Agnieszka. — Ale nie trafiłabym tam teraz. Może ta kraina istnieje w różnych miejscach i w różnym czasie? — zastanawia się. — Przecież niedaleko odeszliśmy od czarnych skał Piekielników, a już była leśniczówka.

Po wielu długich i ciekawych opowieściach przyniesiono wszystkim placek i wiśnie, zupełnie jak u Szklarków, i posilono się. Wystrzelono z armaty, aby dać znać Ropuchowi i żmijom, że wszystko jest dobrze. Potem tamten Patalonek pożegnał się z sąsiadami i wszedł ze swoją matką i ojcem do domu. Również Agnieszka z Gustawem i ze swoim ojcem poszli do swojego domu.



SPIS TREŚCI

OPIS KRAINY	7
NOGA LUDZKA	7
POCZĄTEK OPOWIEŚCI	3
KOMAR	9
PIEŚŃ	11
O TYM, JAK AGNIESZKA PRZYMIERZAŁA CZAPKĘ	12
POWRÓT Z MIASTA	12
ROZMOWA O KOMARZE	15
PIERWSZA WIADOMOŚĆ O WIELKIEJ WODZIE .	15
WIELKA WYPRAWA AGNIESZKI	16
PRZYBYCIE GUSTAWA	19
ZJEŻDŻANIE Z PAJĘCZYNY	20
LEŚNICZÓWKA	22
W KIESZENI LEŚNICZEGO	25
ROPUCH	29
KOLOROWY MOTYL	33
O TYM, JAK MOTYL ROZPOZNAŁ MARZENIA PA- TALONKÓW	34
DWUNASTU ROZBÓJNIKÓW	37
PLAN NAPADU ROZBÓJNIKÓW NA LEŚNICZÓWKĘ	39
MOTYLE SKRZYDŁA	41
ROZMOWA Z ROPUCHEM	42
SZEF MRÓWEK	44
WIELKA BITWA O LEŚNICZÓWKĘ	49
W DOMU	51
POLECIMY NAD WIELKĄ WODĘ	56
PAULINA	58
PRZED LOTEM NAD WIELKĄ WODĘ	64
PATALONKI LECĄ NAD WIELKĄ WODĘ	65
SZARAŃCZA	66
SPOTKANIE ZE ŻMIJĄ I PSAMI STEPOWYMI .	69
LODOWY LABIRYNT	72
MARTWA ŁĄKA	75

O TYM, JAK PATALONKI UZNAŁY SADZAWKĘ ZA WIELKĄ WODĘ	77
ŻABY DORADCAMI KSIĘCIA	79
ALE TU PIĘKNIE — MÓWIĄ PATALONKI NA ZAMKU	81
TO JEST NASZA WIELKA WODA. PIĘKNA JEST TA WIELKA WODA	83
O CZYM SZUMIAŁ STARY DĄB	87
OKRUTNA WALKA LWA Z CZARODZIEJEM	88
O TYM, JAK JASKÓŁKA URATOWAŁA LWA I PA- TALONKI OD ZAGŁADY	93
DZIKIE GĘSI	96
ŚPIĄ TE JEZIORA	99
W SITOWIU SZUMI WIATR	100
ZEMSTA CZARODZIEJA	103
ZŁOTE SKAŁY NIE WIEDZĄ, CZY TO ŁABĘDZIE, CZY PATALONKI	105
KTOŚ TU ŚPI	108
CZARY-MARY, HOKUS-POKUS	109
PODOBAŁ MI SIĘ JEGO KAPELUSZ	111
CZKAŁEM NA WAS — MÓWI LEŚNICZY	116
BĘDĘ PATRZEĆ NA WASZE RĘCE — MÓWI WIEL- KA WODA	117
POŻEGLUJEMY, HEN, DALEKO	120
PATALONKI WYDAJĄ WOJNĘ CZARODZIEJOWI	122
POTWÓR	127
MOŻE POKONAŁY CZARODZIEJA	129
GDZIE SĄ TWOJE GRANICE, WIELKA WODO?	130
PATALONKI MYŚLĄ, ŻE ICH ROZMÓW NIKT NIE SŁYSZY	132
CHOINKA I KOLOROWE KULECZKI	134
NIE DO WIARY — SZEPCZĄ PATALONKI	140
JEDEN BŁYSK I KONIEC	142
KSIĘŻYCOWA PANI	143
NIE JESTEM SAMA — MÓWI KSIĘŻYCOWA PANI	145
TERAZ ZASPIEWAM WAM TRZECIĄ ARIĘ	150
O CZYM ROZMAWIAJĄ ŻMIJE	151
POTEM NASTĄPIŁO POŻEGNANIE ZE ŻMIJAMI	156
PATALONKI MAJĄ TERAZ NOWĄ IDEĘ, CHCĄ BYĆ TAKIMI JAK LUDZIE	158
PATALONKI NAWIĄZAŁY ROZMOWĘ Z ZEGAREM	163
ONA BĘDZIE Z WAMI ROZMAWIAĆ — ZACZĄŁ MÓWIĆ ZEGAR Z KUKUŁKĄ	167
WIELKIE BYŁO ZDUMIENIE, GDY NIKOGO TU NIE POZNALI	168

MY TEŻ MAMY DLA WAS NIESPODZIANKĘ . . .	169
TEGO ZROBIĆ NIE MOŻEMY	171
I TERAZ JUŻ WSZYSCY KIERUJĄ SIĘ W ŚWIAT	173
KUPIMY SOBIE NOWĄ PIWNICĘ	177
W DODATKU TEN WOREK SIĘ RUSZA	178
JESTEŚMY WRÓŻKAMI	182
STRASZNY BYŁ FURKOT FARTUCHA ROPUCHO- WEJ	184
LEŻĄ WSZYSCY WYPROSTOWANI NA PIASKU I MRUCZĄ	187
STOJĄ NA SKRAJU GÓRY ZDUMIENI I OCZOM NIE WIERZĄ	188
SZKLARKI	190
CZY WŚRÓD WAS SĄ PIEKIELNICY? — DZIWI SIĘ ROPUCHOWA	196
NAGLE WSZYSCY WYPADAJĄ Z CHMUR . . .	197
TYMCZASEM PIEKIELNICY ZAUWAŻYLI, ŻE KTOŚ SPADŁ DO ICH KRAINY	199
DZIŚ W NOCY UCIEKAMY	201
O MAŁO NIE OMDLAŁEM ZE STRACHU	204
CHODŹCIE ZA MNĄ	205
JESTEŚMY ZNÓW WŚRÓD SWOICH	207

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1978 r.

Wydanie I. Nakład 20 000 + 300 egz.

Ark. wyd. 7,7. Ark. druk. 13,5.

Papier druk. sat. kl. III, 70 g, 70 × 90.

Druk ukończono w październiku 1978 r.

Zakłady Graficzne w Gdańsku.

Zam. nr 1300. S-97

Cena zł 25.—



